Orhan Pamuk: „Rudowłosa” – powieść palimpsest.

Recenzja książki

Barbara Lekarczyk-Cisek

„Rudowłosa”, najnowsza powieść Orhana Pamuka, utwierdza czytelników w przekonaniu, że turecki mistrz barokowej narracji nadal jest w znakomitej formie i (u)wodzi czytelnika za nos.

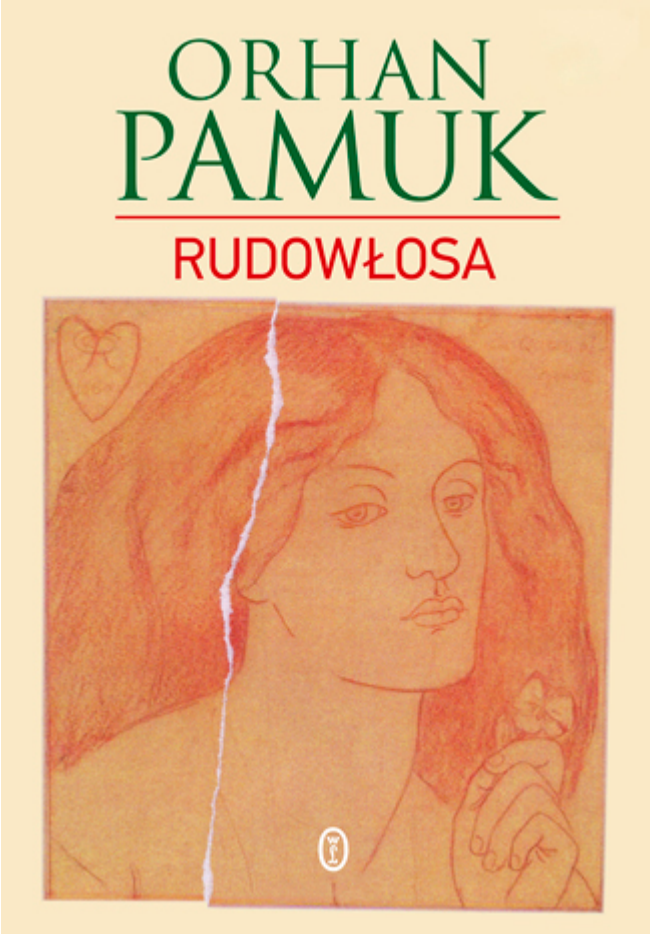

Nic, co prawda, nie przebije historii tajemniczych zabójstw miniaturzystów w nagrodzonej Noblem powieści „Nazywam się Czerwień” oraz równie oryginalnej, co obszernej: „Muzeum niewinności”… A jednak „Rudowłosa” także zaskakuje zwrotami akcji czy może bardziej – narracji. Jest jak palimpsest: pod zasadniczą i – chciałoby się rzec: widoczną historią – ukrywa się następna i następna, jeszcze bardziej zagadkowa…

Ojciec bez syna jest jak syn bez ojca: nikt go nie przyjmie jak swego

Słowa te, pochodzące z „Księgi królewskiej” Ferdousiego, są jej mottem, ale bynajmniej nie jedynym. Powieść Pamuka opatrzona jest także cytatem z „Narodzin tragedii” Friedricha Nietzschego, przywołującym ludowe perskie powiedzenie, że *mądry mag może się narodzić tylko z kazirodztwa* oraz fragmentem pochodzącym z tragedii Sofoklesa: „Król Edyp”: *Gdzież znajdą się ślady // Dawnej i wiekiem omszałej już zbrodni?* Wszystkie one

wprowadzają różne klucze interpretacyjne tej samej zbrodni: zabójstwa i kazirodztwa, a także – jakbyśmy powiedzieli współczesnym językiem – relacji ojca i syna, które kładą się cieniem na życiu ich obu. Pamuk powie ustami swego bohatera, że jest to ***opowieść o tajemnicach relacji między ojcem a synem.*** I słowo „tajemnica" okaże się jak najbardziej zasadne.

Początkowo więc czytamy historię życia, którą opowiada Cem – główny bohater, a jej interpretacja pozostaje w ścisłym związku z myślą przywołaną z „Księgi królewskiej". Kiedy narrator był dzieckiem, ojciec opuścił rodzinę w niewyjaśnionych okolicznościach, skutkiem czego sytuacja materialna stała się tak trudna, że chłopiec w czasie wakacji podjął pracę w księgarni, co zresztą bardzo mu się podobało, ponieważ mógł czytać dowoli, zaczął też marzyć o zostaniu pisarzem. Ponieważ jednak praca w księgarni była nisko płatna i nie mogła pokryć kosztów kursów przygotowawczych do egzaminów na uniwersytet, chłopiec przyjął propozycję pracy przy kopaniu studni. W ten sposób poznał mistrza Mahmuda, który nie tylko wprowadził go w tajniki zawodu, ale stał się dla niego kimś w rodzaju ojca. Był stanowczy, mądry, ale i opiekuńczy, czuły. Mistrz Mahmud uczy także naszego bohatera odpowiedzialności i cierpliwości w dochodzeniu do celu, a wieczorami opowiada różne fascynujące i pouczające historie. Dopiero w dorosłym życiu Cem odkryje, że pochodzą one ze starych ksiąg, m.in. z Koranu i z „Księgi królewskiej" Ferdousiego, i zawierają nieprzemijające prawdy.

> Moim mistrzem był mój ojciec, a jeśli ty okażesz się dobrym pomocnikiem – mawiał Mahmud – staniesz się dla mnie jak syn.

Stworzyli więc relację, w której mistrz Mahmud zastąpił chłopcu ojca, którego mu tak brakowało.

Pewnego wieczoru mistrz prosi chłopca, aby tym razem on opowiedział jakąś pouczającą historię i ten przytacza mit o Edypie. Nie rozumie przy tym, dlaczego wybrał właśnie tę opowieść, nie potrafi też odczytać jej morału, ale mistrz odczytuje właściwe pouczenie, dotyczące przeznaczenia. Jednakże opowieść ta, pochodząca z europejskiego kręgu kulturowego, nie podoba mu się. Zupełnie, jakby przeczuwał, że w jakimś sensie może się spełnić w jego życiu. W rewanżu mistrz opowiada chłopcu podobną historię, pochodzącą z kręgu tradycji wschodniej, w której to ojciec zabija syna, ponieważ nie rozpoznaje go. Te dwie opowieści tworzą właściwie rodzaj uniwersum, w którym tradycje pozornie odległe: wschodnia i zachodnia spotykają się i uzupełniają. A potem spełniają w losach bohaterów powieści Pamuka. *Ojciec bez syna jest jak syn bez ojca…*

Ufaj mistrzowi i słuchaj go, a on się już wszystkim zajmie – przekonuje go Mahmud. *Będziesz kiedyś wielkim człowiekiem,*

wiem to. A jednak syn zdradza ojca, bo sam został niegdyś przez ojca zdradzony… I nie zostaje nikim wielkim.

John Collier, „Lilith”, 1892, The Atkinson Gallery, Anglia.

Rudowłosa Lilith

Cem przeżywa w tym czasie pierwszą miłość – obiektem jego fascynacji staje się tytułowa Rudowłosa, aktorka występująca w miasteczku, sporo od niego starsza. Jej będzie zawdzięczał inicjację w dorosłość, ona też stanie się jego przekleństwem. Ulegając jej chłopiec niszczy swoją relację z mistrzem i ucieka od niego, przekonany, że przyczynił się do jego śmierci. Rudowłosa jest symbolem wieloznacznym: kojarzy się z grzechem i występkiem, jest Lilith, znaną z wczesnej literatury rabinicznej, gdzie jawi się ona jako zła i zepsuta kobieta, pierwsza żona Adama. Zaś kolor rudy od dawna kojarzony był z grzechem, światem podziemnym i szatanem – był kolorem kłamstwa, zdrady, fałszu, oszustwa, niewierności i wiarołomstwa. W istocie, Rudowłosa – przedmiot młodzieńczej fascynacji – sprowadzi na bohatera nieszczęście.

Fatum

Odtąd będzie uciekał od swojego przeznaczenia, jak Edyp, nie mogąc się jednocześnie od niego uwolnić. Obsesyjnie studiuje księgi i obrazy związane z obu opowieściami, a szczególnie z historią Edypa. Poznając ją, podobnie jak bohater antycznej tragedii – długo jednak nie rozpoznaje w niej siebie.

Cen porzuca też marzenia o zostaniu pisarzem. Początkowo pragnął nim zostać, ponieważ chciał w ten sposób zapanować nad obrazami, emocjami i przeżyciami, których doświadczał. Jakże jednak może zapanować nad tym wszystkim ktoś, kto ucieka od samego siebie… I czy można uciec od swego losu? Historia Edypa pokazuje, że to się nigdy nie udaje. Syn staje się ojcem i ginie z ręki własnego syna.

Ale Pamuk na tym nie kończy. Chociaż uśmierca swego głównego bohatera, historia na tym się nie kończy. Narratorką zostaje teraz… Rudowłosa. W ten sposób nie mamy już złudzeń, że los Envera, syna Cema, jest przesądzony. Zarazem jednak przesuwają się akcenty powieści – jej narracja zyskuje kolejny, nieoczekiwany wymiar.

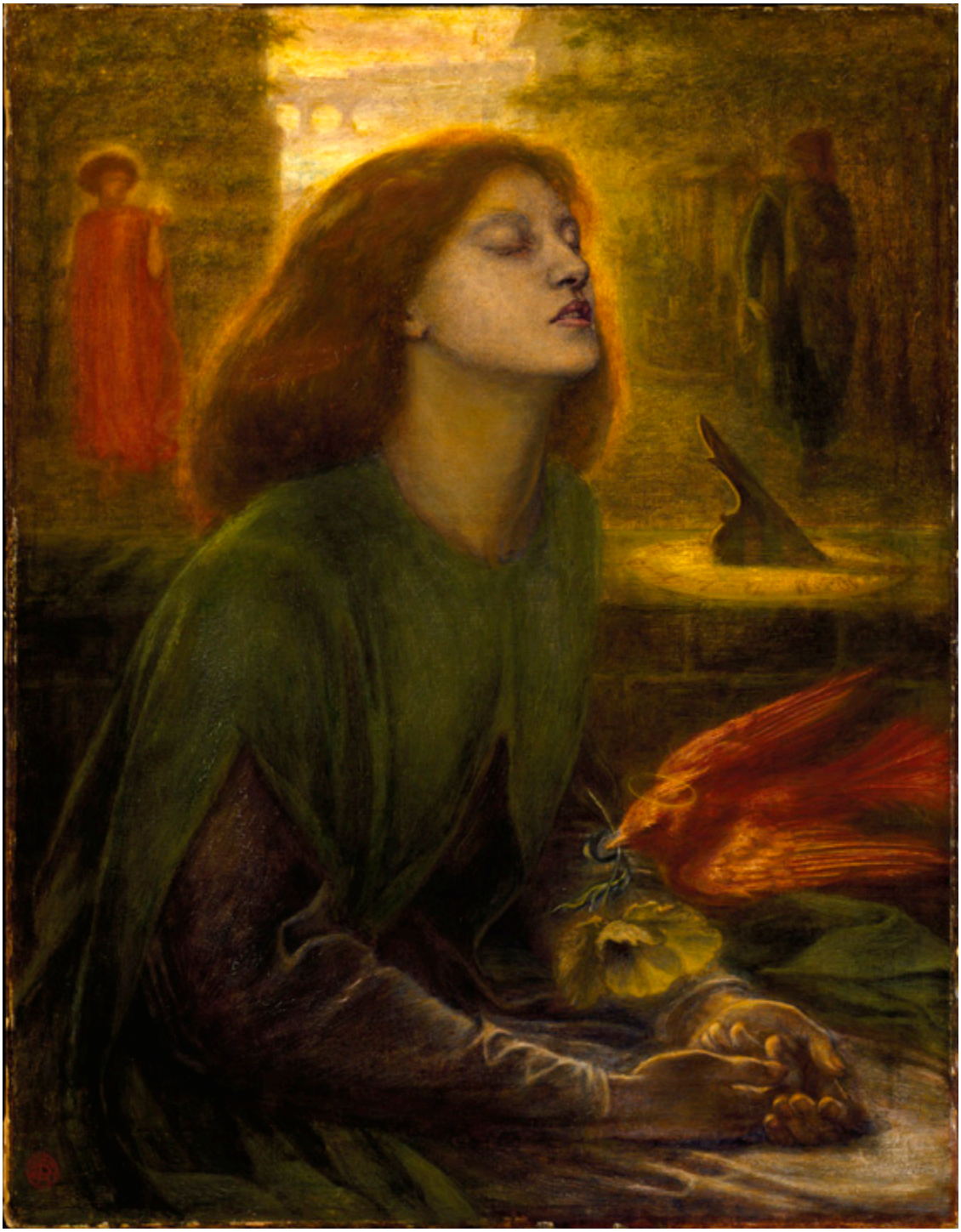

Dante Gabriel Rossetti, „Beata Beatrix”, 1864-70, Tate Gallery, Londyn.

Opowieść o procesie twórczym

Enver pragnie, jak niegdyś jego ojciec, zostać pisarzem i *swoimi*

słowami opowiedzieć własny mit. Teraz, kiedy zabił ojca „przez przypadek”, może snuć opowieść o tym, jak do tego doszło, do czego usilnie namawia go Rudowłosa. Kiedy syn jest w więzieniu, już się przeciwko niej nie buntuje, ale należy wyłącznie do niej. A ona bardzo pragnie, by wydobyto ją z cienia. Dlaczego tylko ojciec i syn? Gdzie postać kobieca? Przecież to ona jest ukrytą sprężyną całej tej opowieści. Toteż Rudowłosa wręcza synowi reprodukcję obrazu Dantego Gabriela Rossettiego: „Beata Beatrix”, przestawiającą tę, która była inspiracją dla Dantego, uosobienie kobiecości i piękna. Dodajmy, że modelką była Lizzie Tiddal – uwielbiana przez prerafaelitów ich muza, potem żona Rossettiego. Rudowłosa także chce być muzą, toteż prosi syna:

> Kiedy skończysz (pisać książkę), na okładce umieścisz ten obrazek; i powiedz co nieco o młodości twojej pięknej matki. Spójrz, ta kobieta trochę mnie przypomina. I dodaje: Oczywiście sam wiesz najlepiej, jak zacząć powieść, ale powinna ona być jak moje końcowe monologi: szczera, a zarazem baśniowa. Realistyczna jak prawdziwe przeżycie i znajoma jak legenda. Wtedy zrozumie cię nie tylko sędzia, wtedy zrozumieją cię wszyscy. I pamiętaj, że właściwie twój ojciec też chciał być pisarzem.

Bo, koniec końców, powieść Orhana Pamuka jest przede wszystkim opowieścią o tym, jak powstaje powieść, w której

wszystkie te znane mity i symbole obu kultur: wschodniej i zachodniej, stanowią niewyczerpane źródło wiedzy o człowieku i jego losie. Najlepszym tego przykładem jest nie tylko mit o Edypie, ale także obecny w powieści motyw studni. Jest ona symbolem twórczej mocy i zgłębiania tajemnicy samego siebie, co jest procesem żmudnym i trwającym długo, ale przynoszącym w końcu owoce tym, którzy od tego nie uciekają i nie tracą wiary, że to ma sens. Oczywiście, niezbędnym warunkiem stworzenia dobrej opowieści, „zrozumiałej dla wszystkich", są emocje: miłość, fascynacje, nierzadko „grzeszne", których opanować się nie da, ale bez nich nie ma życia i nie ma dobrej literatury.

Powieść Orhana Pamuka: „Rudowłosa" ukazała się 17 sierpnia 2017 roku w Wydawnictwie Literackim, w tłumaczeniu Piotra Kawuloka.

„Historia brudu” Katherine Ashenburg

Recenzja książki

Barbara Lekarczyk-Cisek

„Historia brudu” Katherine Ashenburg jest w swej istocie historią ludzkiej mentalności. Troska o higienę miewała różne oblicza, na co miały wpływ różne czynniki: lęk przed chorobą, chęć podobania się, wyznawana religia. Ostatnimi czasy zaś – jak niemal w każdej dziedzinie życia – na nasz stosunek do własnego ciała wpływają także reklamy wielkich koncernów kosmetycznych, które na „brudzie” zarabiają fortuny.

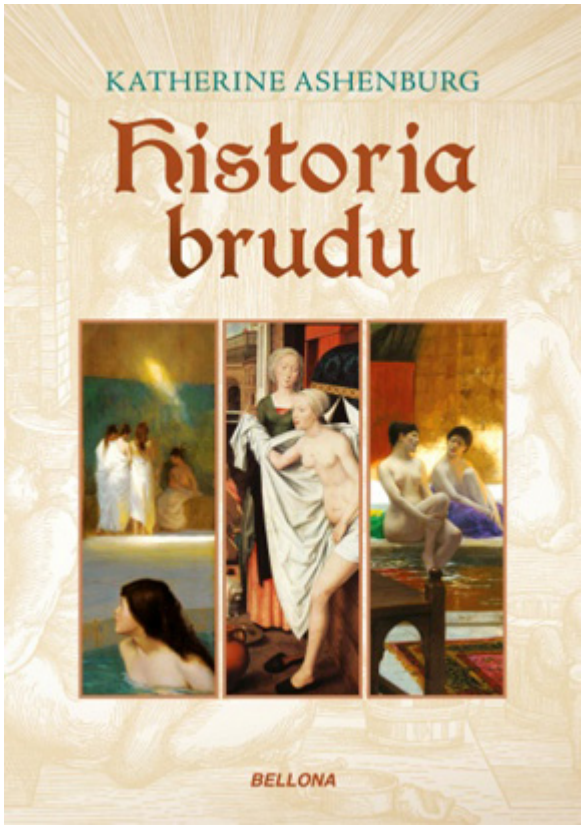

Katherine Ashenburg ze swadą i humorem opowiada „historię brudu”, poczynając od osobistego wspomnienia, a także przedzierając się przez gąszcz przeróżnych nieocenionych źródeł, poczynając od „Odysei” Homera, poprzez Owidiusza, Senekę i Marka Aureliusza, na autorach współczesnych kończąc. Ileż tam apetycznych cytatów, stosownie ilustrowanych! Lektura książki jest rodzajem intelektualnej przygody, podczas której nie tylko dowiadujemy się wielu obyczajowych szczegółów, często zupełnie nieznanych, nierzadko zabawnych, ale również mamy okazję przyjrzeć się, jak różne kultury traktowały sprawy higieny, co wiele nam mówi o mentalności i charakterze ludzi i całych narodów. Czytając tę znakomitą książkę, zostajemy także w jakiś nieuchwytny sposób zainspirowani do tego, aby także przyjrzeć się sobie: zapachom naszego dzieciństwa, młodości, a także, *nolens volens*, teraźniejszości.

Pokaż mi swoją łazienkę, a powiem ci, kim jesteś

Już sam początek książki jest znaczący. Mająca niemieckie korzenie autorka, przyjeżdża w ramach miodowego miesiąca do Niemiec i tam właśnie, w jednym ze schludnych pensjonatów, powraca do niej z wielką intensywnością wspomnienie babci. Dzieje się tak za sprawą kobiet sprzątających pokoje i przygotowujących śniadania, które zachowują się i pachną, jak ona. Katherine Ashenburg zapamiętała ten zapach jako charakterystyczny właśnie dla babci, osoby niezwykle pracowitej i kochającej, toteż miał on w jej przypadku przyjemne konotacje. I oto po latach okazało się, iż jest to przytłumiony, ciężki odór stęchłego potu, gdyż – jak wiele kobiet jej epoki i kraju pochodzenia – babcia dbała wprawdzie o czystość domu, ale o ciało już mniej. Doświadczenie to pozwoliło uświadomić sobie, że zanim staliśmy się zależni od dezodorantów, świat pełen był różnych zapachów, których większość ludzi nawet nie zauważała lub traktowała jako naturalne. To bowiem, co sądzimy o zapachu własnego ciała oraz ciał innych ludzi, w dużym stopniu zależy od poglądów obowiązujących w społeczności, w której żyjemy. Ponadto zaś to, co dziś uważamy za definicję czystości, nie jest bynajmniej nienaruszalną i ponadczasową prawdą. Większość dawnych ludów wychodziła z założenia, że w pewnych okolicznościach pierwotna woń ciała jest najlepszym afrodyzjakiem.

> Ewolucja pojęcia „czysty” jest także historią ciała – twierdzi

> Ashenburg. Nasz stosunek do higieny obnaża wiele, czasami nazbyt wiele prawd na temat nas samych.

I dodaje:

> Pokażcie mi łaźnie i łazienki danego społeczeństwa, a ja wam powiem, czego pragną, co lekceważą, czego się lękają – a także w dużej mierze, kim są jego członkowie.

Rzymskie łaźnie odkryte w Bułgarii, fot. wikipedia.

„Zażywający kąpieli powinien zachować spokój i daleko posuniętą powściągliwość” (Hipokrates)

Jeśli nie brać pod uwagę niefortunnej kąpieli Agamemnona, którego niewierna żona uśmierciła w wannie za pomocą topora, starożytni Grecy myli się z takich samych powodów, jak my – aby poczuć się lepiej i atrakcyjniej. Cytowany Hipokrates był

zagorzałym orędownikiem kąpieli, wierzył bowiem, że kombinacja zimnych i ciepłych ablucji jest zdrowa. W „Odysei” toaleta poprzedza modlitwy oraz uczty. Po przybyciu Odyseusza do pałacu Alkinoosa, jego żona, królowa Arete, przygotowuje kąpiel dla gościa. Umycie się potrafi zupełnie odmienić: kiedy zaniedbany przez wszystkich stary ojciec Odyseusza weźmie na życzenie syna kąpiel, bohater myśli, że *jeden z olimpijskich bogów się objawił*. Przypadek Archimedesa z kolei dowodzi, że przesiadywanie w wannie znakomicie wpływała także na stan umysłu. Ablucje w publicznych łaźniach miały także walory towarzyskie. Można było nie tylko porozmawiać, ale również wypić kieliszek wina, zagrać w kości, a nawet coś przekąsić. Ale nie wszyscy żywili jednakie zamiłowanie do kąpieli, skoro w „Chmurach” Arystofanes wyśmiewa Sokratesa i filozofów, którzy rzekomo nigdy się nie golą i nie myją w łaźniach. Teofrast zaś pisze w „Charakterach” o człowieku obmierzłym, który spaceruje po mieście w brudnym ubraniu, zarośnięty, zęby ma sczerniałe i kładzie się spać z brudnymi rękami. Oczywiście, krytykowano także nadmiernych czyściochów.

„Łaźnie, wino i miłość niszczą nasze życie, ale też łaźnie, wino i miłość składają się na życie”

Młoda kobieta zamierza wlać wodę do labrum, V w. p.n.e.

O ile Grecy doceniali kąpiele, to Rzymianie wprost je uwielbiali. Dowodzi tego m.in. powyższy cytat, będący epitafium na grobowcu Titusa Klaudiusza Drugiego. A chociaż jego autor ma ambiwalentny stosunek do kąpieli, to jednak umieszcza ją na pierwszym miejscu – przed winem i miłością.

W Rzymie dominowała kąpiel podgrzewana i wspólna. Łaźnia rzymska przypomina trochę fińską saunę albo łaźnię turecką. Kąpano się najpierw w ciepłej wodzie, zeskrobując za pomocą narzędzia zwanego *strigilem* nagromadzony na ciele tłuszcz, brud i pot. Następnie, w innym pomieszczeniu, schładzano się zimną wodą, a na koniec namaszczano ciało olejkami i

masowano. Ablucje łączono często z innymi rozrywkami. Niektóre termy sąsiadowały z domami uciechy, czego dowody zachowały się w postaci sprośnych fresków na ścianach pompejańskich term. Kąpiele poprzedzały ćwiczenia fizyczne, co w rezultacie przypominało współczesną siłownię i było dla osób postronnych dużym wyzwaniem. Autorka przytacza opis łaźni pióra Seneki, który pisze dowcipnie w liście do Lucyliusza:

> Mieszkam nad samą łaźnią. Wyobraź sobie teraz wszystkie odmiany hałasu, które mogą doprowadzić do znienawidzenia własnych uszu. Gdy co mocniejsi ćwiczą się bezustannie i miotają obciążonymi ołowiem rękami, gdy bądź wytężają się, bądź naśladują wytężonych, wtedy słyszę ich stękanie, a ilekroć wyrzucają zatrzymane w płucach powietrze, słyszę gwiżdżące i bardzo ostre oddechy. (…) Gdy zaś dojdzie do tego gra w piłkę i gdy gracz zaczyna liczyć swe celne strzały, wtedy już koniec. Dodaj jeszcze kłótliwych ludzi, pojmanych złodziejów i tych, którzy przy kąpieli napawają się brzmieniem swego głosu. Oprócz tych, których głosy są przynajmniej jakieś naturalne, wyobraź sobie wyrywacza włosów spod pach, który – by zwrócić na siebie więcej uwagi – wydobywa co chwila głos cienki a skrzypiący i nie milknie, chyba jedynie wtedy, gdy właśnie skubie włosy i w ten sposób zmusza drugiego, by krzyczał zamiast niego. A do tego jeszcze różne wykrzykniki sprzedawcy napojów,

> sprzedawców kiełbas i ciastek, jak również handlarzy roznoszących wytwory sztuki kucharskiej, zachwalających zaś swój towar z jakimiś swoistymi a narzucającymi się odcieniami w głosie.

Oglądamy zatem oczami Seneki prawdziwą komedię ludzką, a jej opis jako żywo przypomina kontaminację współczesnej siłowni z plażą, meczem piłkarskim oraz zakładem kosmetycznym na dodatek. Kąpiel jest tylko jedną z części składowych, bynajmniej nie najważniejszą. Niemniej ten sam filozof doceniał kąpiel bez tych wszystkich dodatków i luksusów, pozostając pod wrażeniem wizyty w nadmorskiej willi Scypiona Afrykańskiego, pogromcy Hannibala, który mył się w ciasnej, skromnej łazience. W czasach cesarstwa łaźnie stały się pełnymi przepychu pałacami rozkoszy. Dla Rzymian bycie *lautus*, czyli wykąpanym, było warunkiem zdrowia i szacunku dla samego siebie.

Termy Trajana, fot. wikipedia.

„Kąpiem się jedynie dwa razy na rok, na Boże Narodzenie i Wielkanoc”

Słowa te napisał Ulrich, mnich z Cluny i trafnie oddają one stosunek do kąpieli ludzi średniowiecza. Podobno germańscy najeźdźcy podziwiali wiele rzymskich instytucji, ale łaźnie do

nich nie należały. Rzymianie zaś uważali, że barbarzyńcy paskudnie śmierdzieli, być może na skutek tego, że do fryzowania włosów używali zjełczałego masła. Dość, że w ciągu VIII i IX wieku budzące zastrzeżenia chrześcijan, dla których obnażanie się i wspólna kąpiel były nie do pomyślenia, a także pogardzane przez germańskich najeźdźców, zakłady kąpielowe popadły w ruinę. Święty Benedykt zalecał kąpiel jedynie starym i chorym. Z drugiej strony, XIII-wieczny autor angielski, prawdopodobnie dominikanin, zaleca częste mycie i pranie odzienia, gdyż *brud nigdy nie był drogi Bogu, choć ubóstwo i prostota są mu miłe.*

Z czasem pojawiły się jednak średniowieczne łaźnie, a niektóre z nich były wspólne dla kobiet i mężczyzn. Niemiecki manuskrypt z 1405 roku przedstawia kobietę, która wchodząc do domu kąpielowego przyciska do piersi prześcieradło kąpielowe, ukazując jednocześnie odsłonięty tył. Z kolei satyryczny wizerunek obiektów kąpielowych przedstawia pewna polska rycina, ukazująca siedzącego w wannie nagiego mnicha z wygoloną tonsurą, którego głowę i ciało masują dwie młode łaziebne w przeźroczystych szatach. Na upadku łaźni publicznych zaważyło jednak co innego, niż ich krytyka. Stało się tak na skutek wybuchu epidemii dżumy, która w ciągu czterech lat zabiła co najmniej jedną trzecią mieszkańców Europy. Strach przed zarażeniem i stosowne zakazy zrobiły swoje. Trauma była tak wielka, że na kilka wieków ludzie stali się brudasami.

„Na ludziach aż roi się od pcheł i wszy, niektórzy śmierdzą spod pach, inni mają cuchnące stopy, a większość nieświeży oddech”

Tak utyskiwał w 1576 roku włoski muzyk Hieronimus Cardanus. Na królewskich dworach, i nie tylko tam, delikatne jedwabie i mięsiste aksamity spowijały ciała niemyte całymi latami. Aby stłumić nieprzyjemne zapachy, używano perfum. A już XVII wiek był wręcz spektakularnie brudny. Król francuski Henryk IV i jego syn Ludwik XIII słynęli z fetoru, który ich otaczał. Nad upadkiem higieny ubolewał francuski eseista Michel de Montaigne:

> W ogólności uważam codzienne mycie się za zdrowe – pisał. Mniemam, iż nabawimy się nie lada jakich szkód dla zdrowia zatraciwszy ten obyczaj. Trudno mi sobie wyobrazić, by dobrze nam robiło chodzenie z członkami pokrytymi czy porami zapchanymi warstwą brudu.

I nie mylił się: Wielka Zaraza z 1665 roku pochłonęła sto tysięcy istnień w samym Londynie, w latach 1710-1711 zmarła jedna trzecia ludności Sztokholmu, a dziesięć lat później taki sam los

spotkał połowę mieszkańców Madrytu.

W XVII wieku uważano, że bezpieczniejsza od mycia jest zmiana bielizny, która wchłania pot. Ponieważ kąpiel była rzadkością, znikła również jako temat malarski. W miejsce średniowiecznych drzeworytów i iluminowanych manuskryptów przedstawiających sceny z kąpieli, zaczęły pojawiać się obrazy porozwieszanych płócien. Upodobali je sobie szczególnie Holendrzy. Słynny malarz Peter de Hooch namalował dwie kobiety układające świeżo upraną bieliznę w komodzie. Widzimy schludny, uporządkowany świat holenderskiego mieszczaństwa, w którym intarsjowana bieliźniarka zajmuje centralne miejsce, zaś stojący przy drzwiach kosz z brudną bielizną symbolizuje brud i nieporządek, którego należy się wystrzegać.

Pieter de Hooch, wnętrze z kobietami przy bieliźniarce, 1663 r.

„Jedyną pożyteczną częścią medycyny jest higiena, a zresztą higiena jest nie tyle nauką, ile cnotą”

Tak twierdził Jan Jakub Rousseau, poświęcając wiele miejsca kwestii higieny osobistej w swoim dydaktycznym dziele „Emil”.

Powolny powrót do częstych kąpieli rozpoczął się jednakże od zalecanych kuracji. Nastąpiła także zmiana mentalności – pojawił się romantyczny pociąg do świata natury, a ścieżki wytyczał tutaj Jan Jakub Rousseau, który gorąco wychwalał wszelkie przejawy higieny. Czystość bowiem stanowiła nieodłączną część bukolicznego stanu nieskalania i naturalności. Zaczęła się moda na naturalność i schludność, choć był to proces długi i odmienny w różnych krajach.

Kąpiele uwielbiał Napoleon. Podobno każdego ranka spędzał dwie godziny w wannie, podczas gdy adiutant odczytywał mu gazety i telegramy. Jeśli sytuacja polityczna stawała się napięta, czas cesarskich kąpieli jeszcze się wydłużał i w porywach dochodził do sześciu godzin. Czyściochem był również Charles Dickens. Kiedy w 1851 roku zakupił w Londynie dom, kazał w nim zrobić nowoczesną łazienkę, zaopatrzoną zarówno w wannę, jak i natrysk. Twierdził, że odporność na zmęczenie i energię zawdzięcza właśnie prysznicowi, żartobliwie nazwanemu przez rodzinę „demonem".

Tam jednak, gdzie mieszkała miejska biedota, warunki higieniczne długo urągały wszelkim standardom higieny. Raport z 1842 roku, przedstawiony Izbie Lordów odmalowuje przerażający obraz ludzi żyjących w straszliwym zagęszczeniu i brudzie, bez toalet, czystego powietrza i wody. Po opublikowaniu tego raportu zaczęto budować łaźnie. Kąpiel w nich była bardzo

tania, ale i tak nie wszystkich było na nią stać. No i nie wszyscy chcieli się myć. Zmiana mentalności zajęła więcej czasu niż budowa zakładów kąpielowych. Proces uczenia higieny wyglądał różnie w różnych krajach. Ważne jednak, że się rozpoczął. Dodajmy, że w szkołach uczono głównie, jak myć stopy, dłonie i twarz, o miejscach intymnych nie wspominając.

Wejście do Muzeum Mydła i Historii Brudu w Bydgoszczy.

Dawno temu w Ameryce: Pijam wyłącznie zimną wodę i kąpię się dwa razy dziennie

Taką prezentację znajdziemy w rubryce matrymonialnej redakcji amerykańskiego pisma „Water-Cure Fornal" z 1854 roku. W sprawach higieny Amerykanie okazali się radykalniejsi od Europejczyków. Przybywających z Europy pod koniec XIX wieku brudasów postanowili ucywilizować. O tym, że nie mieli złudzeń co do przybyszów świadczy XIX-wieczne powiedzonko: *Irlandczycy mają kontakt tylko z jednym rodzajem wody: święconej*. Uznano wręcz, że najlepszym sposobem asymilacji będzie nauczenie dbałości o higienę. Uważano nawet, że istnieje

związek między higieną a moralnością i że czystość pomoże zlikwidować pleniącą się w dzielnicach nędzy prostytucję. Proces ten trwał całe dziesięciolecia i spowodował powstanie całego przemysłu produkującego i reklamującego środki higieniczne. Od lat dwudziestych obowiązkiem każdego stało się płukanie gardła, używanie dezodorantu i staranne mycie się. Zignorowanie tego byłoby towarzysko niewybaczalne.

> Człowiek, który chce robić dobre wrażenie – pisze w 1923 roku William M. Handy w swojej czterotomowej książce „Nauka o kulturze” – musi mieć czystą, przynajmniej raz dziennie goloną twarz o zdrowej cerze. Ludzie sukcesu zawsze oceniają stan dłoni swych rozmówców. Osoba, która nie dba o ręce, nie ma co liczyć na ich akceptację.

Przedwojenne reklamy

P 3/38b
Pranie nie sprawia mi
nigdy kłopotu
gdy tylko mam Persil
znany ogólnie jako
najlepszy
środek do prania
Persil
Henkel
©starekosmetyki 2010
co Persil
to Persil
Do moczenia bielizny używajcie Henko

©stare kosmetyki 2010
I w sporcie
starannie uczesana!
Nawet w najcięższej walce o zwycięstwo w sporcie mogą panie zachować swój czar i piękny wygląd. I Pani włosy nie stracą pięknego połysku i dadzą się doskonale ułożyć, jeżeli będą zawsze odpowiednio pielęgnowane.
KAMILLOFLOR
wolnyod alkalji Specjalny Shampoo zachowuje blond włosom ich naturalny jasny kolor i przywraca go, gdy włosy ściemniały.
BRUNETAFLOR
wolny od alkalji Specjalny Shampoo do ciemnych włosów podkreśla ich kasztanowaty odcień i nadaje im piękny połysk.
SHAMPOO
ELIDA

Pachnieć sobą?

W ten sposób stworzono świat, w którym najcięższym przewinieniem, jakiego można się dopuścić, jest epatowanie własnym naturalnym zapachem. Spełniła się wizja „Nowego wspaniałego świata”, opisanego przez Aldousa Huxley`a. Przedstawiony tam przez Mustafę Monda dom jest miejscem dusznym, brudnym i cuchnącym, w przeciwieństwie do sterylnych i pachnących pomieszczeń Przebieralni Żeńskiej czy innych wzorcowych miejsc.

Katherine Ashenburg przytacza także wypowiedzi Sissel Tolaas – światowej sławy specjalistki w dziedzinie zapachów, która dzieli się różnymi wątpliwościami natury filozoficznej i psychologicznej:

> Ludzie są tak przyzwyczajeni do fikcji, że nie wiedzą, jak zareagować, gdy nagle pojawia się rzeczywistość. I boją się pachnieć prawdziwie sobą, bo to jest rodzaj nagości. Bardzo niebezpieczne jest dziś wyjść bez żadnego zewnętrznego zapachu na sobie.

Pragniemy kontrolować każdy aspekt swego życia, dlatego wolimy pachnieć jak ciasteczko, nie jak człowiek. Podstawą perfum przyszłości będzie, zdaniem Tolaas, baza złożona z indywidualnego niepowtarzalnego zapachu każdego z nas, do której będzie można dobierać różne molekuły zapachowe. Hm… zobaczymy lub może inaczej: poczujemy.

Higieniczna perfekcyjna czystość jest po trosze efektem wyparcia naszej „zwierzęcości", mimo to jednak nie mamy nad ciałem pełnej władzy. Co więcej, okazuje się, ze sterylność sprzyja wielu chorobom, m.in. alergiom.

Przyszłość czystości jest tajemnicą, zależną od wielu przyczyn. Jednakże jednego możemy być pewni, tego mianowicie, że za sto lat ludzie będą z rozbawieniem albo zdziwieniem patrzeć na to, co uchodziło za higieniczne normy naszych czasów – twierdzi Ashenburg. I chyba się nie myli.

Jako że Polacy nie gęsi, na marginesie dodam, że w Bydgoszczy istnieje Muzeum Mydła i Historii Brudu, na którego stronie czytamy m.in.:

> Chcemy, aby każdy z naszych Gości wyszedł z uśmiechem na ustach i z mydełkiem w kieszeni. Staramy się opowiadać historię poprzez ciekawostki, również te nie najlepiej

> pachnące, podszkolić w praniu na tarze, przenieść w czasie do średniowiecznej łaźni albo zważyć mydło w Kolonialce u Dziadziusia Ażurowego.

Pozostaje mieć nadzieję, że w Polsce mycie nie przejdzie do historii i spełni się wreszcie sen Witkacego, który w „Niemytych duszach” marzył o domytych rodakach.

Przedwojenne reklamy

© starekosmetyki 2010

Naukowe badania

L83

potwierdziły bez zastrzeżeń profilaktyczne działanie ODOLU. ODOL jest więc uznany jako środek antyseptyczny i bakterjobójczy. Kto **stosuje ODOL do codziennego pielęgnowania jamy ustnej, chroni swe zdrowie,** toteż opinja się utarła,

ŻE ODOL TO ZDROWIE ZĘBÓW, UST I GARDŁA!

ANTYSEPTYCZNY I BAKTERJOBÓJCZY

ODOL

PŁYN DO UST PASTA DO ZĘBÓW

L83 oznacza ODOL bardziej jeszcze udoskonalony; jego działanie antyseptyczne zostało w wysokim stopniu spotęgowane. Badania bakterjologiczne i kliniczne wykazały przewagę ODOLU pod względem własności bakterjobójczych.

Tak wydajny jest Persil!

Jedną paczkę Persilu bierze się na trzy wiadra, rozpuszczając zawartość bez domieszek w zimnej wodzie. Bieliznę gotuje się tylko przez 15 minut, płócząc w ciepłej a następnie w zimnej wodzie. — Kto raz prać będzie w ten sposób, nie postąpi nigdy inaczej. Świetny wynik przekona każdego.

Co **Persil** to **Persil**

starekosmetyki 2010

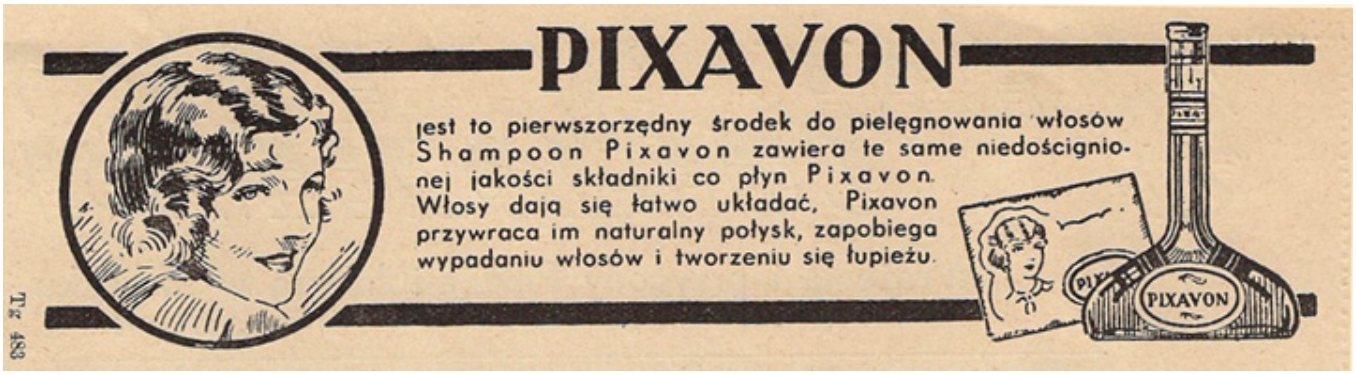

Książka Katherine Ashenburg „Historia brudu” ukazała się w Wydawnictwie Bellona.

Partnerzy i towarzysze życia. Korespondencja

Melchiora i Zofii Wańkowiczów.

Melchior Wańkowicz z żoną i córką, 1960 r., fot. PAP.

Mirosława Pałaszewska

Znany pisarz i reportażysta Melchior Wańkowicz poznał swoją przyszłą żonę Zofię z Małagowskich w Krakowie w 1914 roku poprzez jej braci. Przyszły autor *Szczenięcych lat* i *Ziela na*

krateрze kończył tam Szkołę Nauk Politycznych, a Zofia studiowała historię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zaręczyli się jeszcze tego samego roku. W grudniu 1914 napisał do Zofii:

> Ogarnia mnie zrozumiała, głupia i niepotrzebna duma. Patrząc na te wszystkie pary zaręczone i swatane na Litwie, na wszystkie panny i młodzież męską – i myśląc o nas – mam wrażenie, że to wszystko gdzieś tam w dole jest małe i nikczemne u nóg nam się roi.
>
> Wielki jest Pan Bóg i jakże rozliczne szczeble dusz ludzkich!
>
> Wracam na wieś; wracam po te parę słów od Pani, parę słów najobojętniejszych, które odsłonią mi może, co moja narzeczona myśli.

Pobrali się 8 lutego 1916 roku. Trzy lata później (8 października 1919) przychodzi na świat córka Krystyna, a 29 lipca 1921 roku – druga córka Marta (znana czytelnikom jako Tili). Przed narodzeniem Marty przyszły ojciec pisał 20 lipca: *To wprost fenomenalne rzeczy, co piszesz – jak jakiś cud Boży, jak kiełkowanie rośliny ten rozwój dziecka. Z głęboką czcią myślę o Tobie jako o matce.*

> Zofia Wańkowiczowa przebywa wówczas w Jerce, majątku dzierżawionym przez brata Melchiora – Witolda. Głowa rodziny mieszka w Warszawie przy ul. Elektoralnej 49/5. Korespondencja między małżonkami jest dość ożywiona. Bardzo ciekawe są listy pani Zofii cytujące zabawne powiedzenia i zachowania córek. Jesteśmy świadkami, jak dziewczynki rosną. *Twoje listy o dzieciach są moja najwyższą i jedyną właściwie przyjemnością* – podsumowuje Wańkowicz.

Proponując żonie przyjazd do Warszawy (po 6 latach małżeństwa) pisał:

> Będę oczekiwał u wyjścia na dworzec – zgięty u arkady nisko, niziutko – jeśli p. Fryze pójść poczekać pozwoli. Potem pocałuję w rękę i będę iść za Tobą do naszego domu, patrzeć na pochyłą linię szyi, gdzie rośnie ten najdelikatniejszy puch – i cicho cieszyć się. A w pewnej chwili Ty się odwrócisz i wejrzysz na mnie swoimi oczami jasnymi. Mój Boże!

A ona komentuje potem ten pobyt:

> Taki byłeś ładny, jak leżeliśmy na plaży w ostatni dzień

> wyjazdu mego. Chciałam Cię ucałować, ale się speszyłam. Obejmuję serdecznie.

Zachowane listy z okresu przedwojennego pani Zofia opatrzyła słowami:

> W listach Melka jest głęboka miłość do nas wszystkich trzech. Jest prawda i prawość. Wzruszająca czułość, troskliwość i delikatność. Strzeże w nich godności naszego życia.

Świadczą o tym słowa Melchiora, które przekazał Zofii jej ojciec:

> Mel upatruje w Tobie cnoty, przymioty, talenta prawdziwie wszelakie, o które ja, Ojciec, nawet nie podejrzewałem Cię.

Kiedy już zamieszkali razem w Warszawie on został Kingiem (podczas czytania dziewczynkom *W pustyni i w puszczy* na pamiątkę słonia utkwionego w wąwozie i karmionego przez dzieci), ją nazywano Królikiem. W *Zielu na kraterze* Wańkowicz pisał*:*

> Mama-puszyste łapki – dzierżyła rządy tego Domeczku. Domeczku, w którym ludzie podobni byli do zwierzaków, a zwierzaki do ludzi. Przede wszystkim Mama sama nosiła przezwisko – Królik. To poszło od anegdoty o dwóch warszawskich Antkach, którzy sprzedawali na Kercelaku – jeden psy, a drugi króliki. Buldog zdławił królika, zrobiła się sprawa, a właściciel buldoga tłumaczył: „Panie władza – jak Boga kocham – to król zaczął. Buldog szedł spokojnie, a ten król na niego marszczył nosem – o tak!”
>
> Ponieważ „wilk okropnie „zły” nieraz wybuchł: „Bo ty zawsze zaczynasz”, więc Mama została królikiem.

Miłość między małżonkami przetrwała. W czasie wojny byli daleko od siebie. Melchior Wańkowicz przekroczył we wrześniu 1939 granicę z maszyną do pisania. Znalazł się w Rumunii, dokąd 24 III 1940 przybywa jego córka Marta. Potem trafia na Cypr, wyjeżdża do Palestyny, pracuje jako korespondent wojenny we Włoszech. Ona całą okupację spędza wraz z drugą córką (poległą w czasie powstania) w Warszawie. Spotkają się znowu 24 XII 1945, kiedy to Zofia przybywa do Włoch. Następny etap w ich życiu to domek na Ealingu w Londynie, kolejny wyjazd – tym razem za ocean – do Stanów Zjednoczonych. Listy do małżonki pisuje podczas objazdu Kanady (8 IX – 16 XII 1950). Odwiedza kraj w 1956 roku, a dwa lata później małżonkowie już na stałe

wracają do kraju. I znowu listy z objazdu (tury odczytowej), tym razem po Polsce. Potem listy nieliczne są wysyłane do szpitala, gdzie przebywa pani Zofia. Ostatnia kartka została napisana przez pisarza 22 I 1968 roku:

> tak się każdy wyśpi,
>
> Jak se pościele,
>
> No i moje wyjście
>
> Przespałaś Aniele.
>
> Idę do Biblioteki
>
> Znaczy Narodowej,
>
> Mimo Twoje skrzeki
>
> Brać olej do głowy.

Zofia Wańkowiczowa zmarła 20 maja 1969 roku. W jakiś czas potem Pan Melchior rozesłał do znajomych i przyjaciół jakże piękne podziękowanie:

> Dziękuję za słowa żalu po śmierci Żony rodzinie, kolegom, przyjaciołom i znajomym, redakcjom, wydawnictwom, stowarzyszeniom i instytucjom.
>
> Dziękuję za listy czytelników, którzy pod niefrasobliwym tekstem książek zrozumieli, że to o towarzyszu życia kochanym, potrzebnym, koniecznym. Listy były tak przejmujące, jakby pisali o kimś najbliższym.
>
> Już Jej nie pokażę tych listów z Polski i ze świata, już jej nie będę mógł powiedzieć, jak pojedynczo składane kwiatki pokryły wieńce ze wstęgami.
>
> To już tylko dla mnie ta otucha, te nieraz nieporadne listy, te koperty bez właściwego adresu, na których wypisano słowa pełne dobroci.
>
> Dziękuję, całym sercem za Króliczka. Ale go już nie ma.
>
> Wsparliście mnie w tych najcięższych dniach utraty tej, która towarzyszyła mi pięćdziesiąt trzy lata, a której nie stało u kresu pisarstwa.

Rzeczywiście, Zofia Wańkowiczowa była dla swojego małżonka partnerem i towarzyszką życia przez te wszystkie lata. Świadczą

o tym listy, jakie pisali do siebie będąc w oddaleniu. Ona pisała do Niego:

> 29 VII 1940: Tak Ciebie kocham. I dzieci.
>
> 4 X 1940. Mam zawsze Twój list w torebce, aby się przytulić, i list Małej, aby się uśmiechnąć. A 11 X 1940: Tak bym się chciała do Ciebie przytulić, bo ucho boli i dokucza głuchota, i trudno pracować.

On listy do Niej rozpoczyna:

> Najdroższe Moje (i milutkie) Kochanie; Kochana Zosieńko; Zosinku Mój Drogi! Moja Maleńka; Moja Miła, Moja Kochana, Kochana Mojuśka. W liście z 1966 roku, a więc w pół wieku po ślubie pisze: Myślę o Tobie ciągle, jestem ciągle przy Tobie i chciałbym, żebyśmy już jak najprędzej się połączyli.

Ale listy te mówią jeszcze wiele o ich życiu, prostują obiegowe opinie o dostatnim życiu pisarza. Są wspaniałym uzupełnieniem utrwalonych na kartach Jego książek. Jest to lektura fascynująca.

Rodzina Wańkowiczów odchodzi w przeszłość. 6 sierpnia 1944 zginęła córka Krystyna. Pani Zofia zmarła 29 maja 1969, Melchior 10 września 1974 roku. Nie żyje też córka Marta (Erdman) i jej mąż Jan Erdman. W 2004 roku umarł Tadeusz Walendowski (27 lutego 2004), a niecałe dwa tygodnie później (10 marca 2004) jego żona Anna Erdman, wnuczka Melchiora.

Oby znalazły się oficyny, które zechcą wydawać książki tego wspaniałego reportażysty. By kolejne pokolenia poznawały historię Polski widziane oczyma świadków.

*

Korespondencja pisarza mogła się ukazać dzięki wieloletnim zabiegom Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, której pisarz zapisał swoje archiwum. Już wcześniej opublikowała korespondencję pisarza z Czesławem Miłoszem (na łamach „Twórczości" 1981 nr 10; w II obiegu wydał ją „Głos" w 1986 roku). Nakładem Czytelnika ukazała się w jej opracowaniu w 2000 roku korespondencja z Jerzym Giedroyciem (*Listy 1945-1963)* w serii *Archiwum „Kultury"*. Wcześniej (1993) „Twój Styl" wydał *Korespondencję* Melchiora i Krystyny Wańkowiczów (Ojca z córką). Udostępniła też niżej podpisanej korespondencję Melchiora Wańkowicza i Zofii Kossak (opublikowaną w „Twórczości" 1997 nr 6).

Pani Aleksandra (czy *Oleńka od Wańkowicza*, jak nazwał ją jeden z czytelników) niedługo po śmierci pisarza nauczyła się odczytywać rękopisy i zaczęła przepisywać na maszynie (to nie była epoka komputerów) zachowaną korespondencję małżonków. Wyszło jej ponad 1000 stron. Kołatała do drzwi wielu wydawców. Trzykrotnie podpisała umowę. Dopiero „Twój Styl" zrealizował umowę wydając w dwóch eleganckich tomach, w twardej oprawie całą korespondencję, bez żadnego skreślenia**.** Pozostaje tylko żal, że nie wszystkie listy się zachowały. Listy te są wspaniałym uzupełnieniem *Ziela na kraterze.*

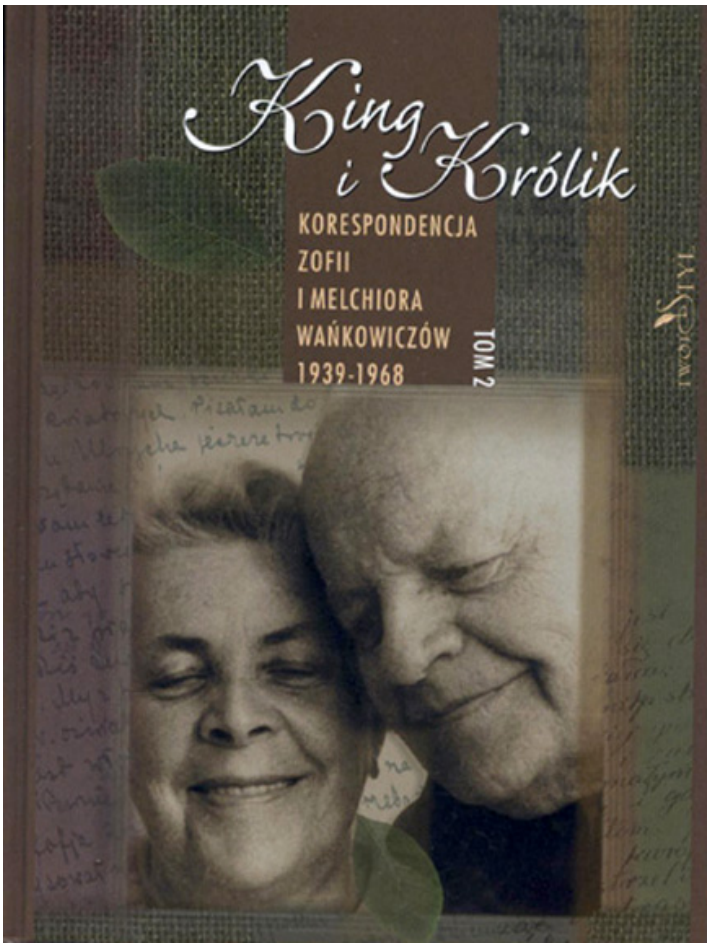

King i Królik. Korespondencja Zofii i Melchiora Wańkowiczów. T.1: 1914-1939, t.2: 1939-1968. Opracowała, wstępem i przypisami opatrzyła Aleksandra Ziółkowska-Boehm. Warszawa 2004 r., Twój Styl.

Recenzja ukazała się w „Liście oceaniczny" – dodatku kulturalnym „Gazety", pod redakcją Joanny Sokołowskiej-

Gwizdka, Toronto, nr 25, styczeń 2005 r.

„Siedem rozmów o poezji” – Floriana Śmiei dialogi z poetami

Recenzja książki

Na Culture Avenue pojawiły się dwie rozmowy o poezji Floriana Śmieji – z Wacławem Iwaniukiem oraz z Julią Hartwig i Arturem Międzyrzeckiem. Obie znalazły się w książce „Siedem rozmów o poezji”, wydanej przez Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, w Toronto w 1990 roku. Publikacja ta jest ważnym przyczynkiem do analizy procesów, przez które przechodziła współczesna poezja polska. Mimo, że rozmowy były przeprowadzone wiele lat temu, wnikliwe obserwacje interlokutorów nie zdezaktualizowały się.

Redakcja

Grażyna Maroszczuk

Siedem rozmów o poezji **Floriana Śmiei** – książkę opublikowaną w Toronto w 1990 roku – tworzą dialogi spisane na gorąco i rejestrujące, jak powie autor przedsięwzięcia, rozważania poświęcone poezji, sposobom jej przeżywania, sylwetkom poetów znanych i mniej znanych odbiorcy, artystów tworzących w kraju i na emigracji. Nie łatwo przesądzić, co łączy rozmowy zarejestrowane w różnych miejscach i w różnym czasie. Zamysł konstrukcyjny całości charakteryzuje pewna przypadkowość.

> Stwierdzenie starożytnych „verba volant, scipta manent", że należy ulotne słowa spisać, i dzisiaj nie straciło na aktualności. Dotyczy to również spontanicznych rozmów o literaturze .
>
> Przed laty powziąłem myśl, by sporadycznie przejeżdżających przez London Ontario, przyjaciół i znajomych nagrywać, gdy tylko rozmowa zejdzie na tematy związane z poezją. Z czasem doszedłem do wniosku, że te odruchowe i szybkie wypowiedzi są interesujące i że warte są utrwalenia i udostępnienia innym […].
>
> Rozmowy nie były planowane. Uważny czytelnik bez trudu odczuje brak spójności między nimi. Z kolei dzięki temu,

> osiągam coś, co też jest wartością: spontaniczność, chwytanie na gorąco chwili, przekształcanie się falującej intuicji w słowa szukające prawdy. [1]

Wybór padł w tym wypadku na rozmowy, w których jednym z podmiotów wymiany są poeci, prozaicy, historycy literatury, redaktorzy emigracyjnych pism kulturalno-literackich, wykładowcy: **Tymon Terlecki, Jerzy Pietrkiewicz, Janusz Ihnatowicz, Stanisław Barańczak, Krzysztof Lisowski, Julia Hartwig, Artur Międzyrzecki, Wacław Iwaniuk** a „gospodarzem instytucjonalnym" całości jest poeta, wykładowca, tłumacz literatury hiszpańskiej i hispanoamerykańskiej, eseista, redaktor naczelny londyńskich pism emigracyjnych „Nowy Merkuriusz" i „Kontynenty" – **Florian Śmieja**. Poeta, który ma za sobą trudną drogę na obczyznę, co powoduje, że relacja emigracja – kraj, przetransponowana do poetyckich utworów artysty zaznaczona jest silnie także w innych przekrojach autokomentarzy literata, w jego twórczości wspomnieniowej i paraliterackiej.

Nie chcę wchodzić w szczegóły biograficzne pozwalające właściwie docenić silną, emocjonalną więź humanisty z ojczyzną. Rozmowy o poezji trudno jednak czytać bez świadomości tego kontekstu, bez zrozumienia trudnej sytuacji emigracyjnego poczucia obcości. Bez ciekawości spraw polskiej kultury, jaka

leży u podstaw przedsięwzięcia, zapewne nie powstałyby dialogi, które zebrane zostały w formie publikacji zwartej. Interesuje mnie zatem, jak poeta pojmuje zobowiązania paraliterackich tekstów. Wszak paratekstowe komentarze zamieszczone we wstępnych rozważaniach animatora dialogów wiążą się między innymi z pytaniem, jak czytać dialogi o poezji. Są one zapisem selektywnej i wybiórczej pamięci, która fałszuje obraz przeszłości. Jednocześnie pamięć ta w sytuacji psychicznej emigranta krystalizuje poczucie tożsamości.

Lekturę siedmiu dialogów rozpocząć należy od *Słowa wstępnego*. Nie sposób nie zauważyć, że metatekstowe wypowiedzi poety i gospodarza instytucjonalnego spotkań, konsekwentnie przypominają o takich wartościach dialogów, jak świeżość aktualnego spojrzenia interlokutorów, fragmentaryczność wyselekcjonowanych epizodów, z drugiej zaś spontaniczność zapisów, zachowanie dynamizmu chwili żywej rozmowy i bezpośredniość kontaktu, która kompensować ma „nieuniknione w takim wypadku niedociągnięcia i usterki”[2]. Sprzeczności, na których rozmowy są zbudowane, trudności w rejestracji mówionego-pisanego świadomość tę jedynie pogłębiają. Autor wstępu sygnalizuje obawy, które towarzyszą opracowaniu materiału. W autoryzacji materiał spisany na gorąco poddany zostanie retuszom, intelektualna rutyna wpłynie na „esencjonalność dorywczego spojrzenia”[3] „mówionego” i zastąpi go skrupulatną korektą „pisanego”.

Z drugiej wszak strony pozostaje szacunek dla pracowitości, skrupulatności zapisu, którym człowiek „umiejący pracować nad słowem” potwierdza swoją rzetelność i szacunek do literatury. „Skrzętny gospodarz sensu” – **Florian Śmieja** nie zapomina przecież o poznawczym, porządkującym trybie „wywiadywania się” i rejestrowania informacji. Odbiorca znajdzie w *Słowie wstępnym* dane na temat genezy rozmów. Biogramy i krótkie noty o ważnych pozycjach dorobku naukowego i artystycznego interlokutorów pełnią tu rolę informacyjnej introdukcji. Siła różnych punktów widzenia, rozpiętość czasowa i zmienność miejsc rejestrowanych na taśmie spotkań (Toronto, Cambridge, Massachusetts, Warszawa) przybliżać mogą w miarę obiektywny obraz rzeczywistości rekonstruowanej po latach w dialogach. Wystarczy przeczytać informacje o miejscu i czasie nagrywanych spotkań, przywołujących odległe konteksty. Przypomnijmy, że rozmowy zebrane w porządku numerycznym rejestrują spotkania z lat siedemdziesiątych. Datą tą opatrzone zostały inicjujące kolejne spotkania, jak informuje autor wstępu, dialogi z **Januszem Ihnatowiczem** poświęcone wspomnieniom czasów „Kontynentów”. Zarejestrowane na taśmie spotkania z **Tymonem Terleckim, Stanisławem Barańczakiem i Krzysztofem Lisowskim** odbyły się w połowie lat osiemdziesiątych. Wreszcie finalizujące książkę dialogi z **Julią Hartwig, Arturem Międzyrzeckim i Wacławem Iwaniukiem** pochodzą z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Dialogi **Floriana Śmiei** z poetami ukazały się w 1990 roku. O karierze form dwuautorskich w trudnych latach transformacji drugiej dekady pisano wiele. Aleksander Główczewski w książce *Poetyka i pragmatyka „rozmów z…."*[4] analizował przyczyny sukcesu form dwuautorskich, wywiadów z poetami, pisarzami, politykami. Dla badacza umownym punktem początkowym popularności tekstów interlokucyjnych był przełom 1989/1990 roku – jak twierdzi autor monumentalnego studium – są to lata publikacji *Mojego wieku* Aleksandra Wata (pierwszego wydania książki w oficjalnym obiegu). Badacz wskazuje jednocześnie na przyczyny popularności wywiadów książkowych. Jest tu miejsce na informacje szczególnego rodzaju: dotychczas z różnych względów niedostępnych czytelnikowi. Jest miejsce na poszerzenie

> przestrzeni komunikacji, zdeterminowanej m. in. obowiązującą w danym czasie doktryną polityczną i ideologiczną (…)[5].

Efektem tak ukierunkowanych zmian było „odblokowanie informacji". **Florian Śmieja** przypomina o dokumentującej i poznawczej roli dyskursywnych komentarzy, inaczej trafiających do odbiorcy emigracyjnego, niż „mało chodliwe"[6] w rozumieniu wydawców, aspektowe dyskusje, debaty, odczyty na temat poezji[7]. Walory informacyjne tych przedsięwzięć grają rolę

szczególną. Wiążą się z możliwością zaprezentowania mówiącego „ja”, który w obecności Drugiego współtworzy namysł nad życiem, twórczością, doświadczaniem trudów tworzenia w zmiennych sytuacjach historycznych w kraju i na emigracji. Można wstępnie założyć, że istotną rolę w wywiadach zajmowałby dziennikarski punkt widzenia z prawem do oryginalności komentarzy, przede wszystkim umiejętnością utrzymania uwagi odbiorcy na sprawach mało mu znanych. Ale kłopotliwa bliskość literatury i dziennikarstwa w badaniach literaturoznawców i medioznawców pozostaje kwestią ciągle otwartą. Nie można lekceważyć faktu, że pytający jest poetą. Jako poeta interlokutor ciekawy będzie świadomości autorów, tego jak widzieli i widzą swój czas i rzeczywistość, w której przyszło im tworzyć. Chodzi przecież o sposób przeżywania poezji, trudne wybory artystyczne. O te kwestie poeta pyta najczęściej. Potrzeba weryfikowania tego, jak artyści pamiętają swoją przeszłość wydaje tu się mniej istotna. Okoliczności nagrań wyjaśnia komentarz wstępny:

> W prezentowanych tekstach występuje rozmówca-poeta, rozmówca- pisarz […] jako uczestnik życia literackiego, nie krytyk czy historyk literatury[8].

Rolą pytającego jest raczej wywoływanie wspomnień, zatem świadomość tego, który pyta może na swój sposób korygować

interpretację monologizujących, może wyzwalać mowny potencjał rozmówcy, który próbuje porządkowania własnej przeszłości.

> W takiej sytuacji nie było właściwe prezentowanie systematycznie przygotowanych pytań. Zadawałem więc ogólne i niepodchwytliwe, a i też nie zawsze, jeśli tylko rozmowa nabierała rozpędu. Próbowałem raczej asystować przy wyłanianiu się wspomnień i osądów, nie przerywałem i nieraz wolałem nie stawiać pytań, jeśli rozmówca samorzutnie poruszał kwestię, choćby nawet nie rozwijały wcześniej rozpoczętej myśli.[9]

Metatekstowy fragment wprowadza czytelnika w świat lektury wywiadów, w których nie ściśle naukowy, nie dziennikarski punkt widzenia zdominował przekaz o sztuce i życiu literackim. Nie zawsze działa tu właściwe wywiadowczym praktykom prawo ekonomii uwagi. Rozmówcy pozwalają sobie na dygresje, usprawiedliwiają potrzebę retardacyjnego opóźniania rozmowy, wtedy gdy rejestracji domaga się nawet mniej ważny epizod, reminiscencja, asocjacja czy rozbudowany, metatekstowy komentarz. **Tymon Terlecki** na marginesie wywodu poświęconego wspomnieniom Leśmiana dopowie:

> Wspominanie wymaga pewnych okoliczności. To nie jest aktywność psychiczna, którą można mieć na zawołanie. Są czasami irracjonalne okoliczności które powodują, że otwierają się jakieś śluzy, że wyskakują jakieś skojarzenia. Tutaj zupełnie niespodziewanie dla siebie opowiedziałem te historię o Leśmianie, którą uważam za przynależną do historii recepcji tego poety[10].

Co do planu treści nie chodzi tylko o rejestrację, dokumentację wydarzeń, proste odwzorowywanie świata i różnorako uwikłaną, ograniczoną interpretację faktów. Mniej wyraźne wydaje się dążenie do maksymalnego zobiektywizowania wypowiedzi. Wartością literatury jest afirmacja emocji i potrzeba kontrolowania ambicji intelektualnych. Dlatego wrażliwość poety, dająca o sobie znać w komentarzach wstępu, pozwala wydobyć walory wspomnieniowych ewokacji interlokutorów:

> […] rozmówcy nie używają aseptycznego żargonu naukowego, który tak skutecznie odstrasza czytelnika[11]

– przypomina **Florian Śmieja** w kolejnej autoeksplikacji. Tym samym uznaje ważną dla gatunku świadomość przystępności komunikowanych treści rozmów, które są – powtórzmy za Anną

Łebkowską „rozmowami dla”, rozmowami dla odbiorcy[12]. Komentatorzy gatunku pisali o sprzecznościach tkwiących w tekstach mówionych pisanych. Ta świadomość mówionego-pisanego towarzyszyła pracom nad redagowaniem rozmów. **Florian Śmieja** umieści w paratekstowej formule wstępu komentarz dotyczący kłopotliwości rejestracji dialogów, trudności natury technicznej:

> Oczywiście powstał dylemat czy należało dać autorom tekst do wglądu przed drukiem, istniała bowiem obawa, że rozmówcy będą się starali ulepszyć esencjonalność dorywczego widzenia skrupulatnymi refleksjami i intelektualną rutyną[13].

Umiejętność pracy nad słowem, którą można odnieść do wszystkich rozmówców zagrażałaby – zdaniem autora wstępu – żywiołowi spontanicznej rozmowy.

Florian Śmieja z Niną Taylor-Terlecką, żoną Tymona Terleckiego, Oxford, 2004 r., fot. arch. Floriana Śmieji.

Rzecz tę warto zobaczyć w perspektywie, którą nakreśla animator przedsięwzięcia. Autor wstępu sygnalizuje w kolejnym fragmencie wagę wspomnieniowych ewokacji w dialogach rekonstruujących przeszłość powojenną. Retrospektywy poświęcone zapamiętanym miejscom i ludziom pojawiają się w komentarzach **Tymona Terleckiego** i **Wacława Iwaniuka**.

Tymon Terlecki na marginesie wywodu zastanawia się, nad

mechanizmem rozpamiętywania inspiracji twórczych, które ukształtowały wrażliwość literata i bliskich mu „współleśmianistów”, bo tak krytyk nazywa fascynację lwowskich poetów poezją **Bolesława Leśmiana:**

> Dla Leśmiana życie to było naprawdę przez największe „Ż”, obejmujące jakieś najdalsze perspektywy i psychologiczne i metafizyczne, kontemplację i złożoność, tragiczność, wieloznaczność faktu istnienia […]
>
> Przeżycie nasze Leśmiana było tak swoiste, tak głębokie, tak jakoś subiektywnie natężone, tak pobudzane przez okoliczności życia Zakopanego, sanatoriów, w których spędzaliśmy miesiące i lata przez naszą chorobę […][14].

W rozmowie z **Tymonem Terleckim**, krytykiem, historykiem teatru i literatury, redaktorem „Polski Walczącej” – wyłania się wspomnieniowy fragment przedwojennego, rodzinnego Lwowa. Środowisko lwowskich poetów i uczestników wieczorów Kasyna Literacko – Artystycznego. **Stanisław Maykowski** i **Henryk Bald**, literaci mało znani współczesnemu odbiorcy, nie odnotowani w antologiach poetyckich. Kontekstowy charakter rozmowy, nieznane biogramy, szczegóły, nazwiska dopełnia komentarz na temat osiągnięć innowatorów poezji międzywojnia. Szczególnie tych, którzy odcisnęli swój ślad w krytycznych

pracach interlokutora: **Józef Wittlin, Bolesław Leśmian**, poeci **Skamandra**. We wszystkich rozmowach przewija się refleksja o osobowościach, które wpłynęły na sposób przeżywania liryki przez humanistę. W komentarzu interlokutora przywołane zostaną krytyczne refleksje uczonych na temat Młodej Polski Lwowa i wyrastających z jej inspiracji wielkich projektów kultury polskiej. Nie bez znaczenia dla tego obrazu będzie zaznaczone w tym miejscu wspomnienie **Stanisława Brzozowskiego** autora *Legendy Młodej Polski*. Zasygnalizowana na marginesie wspomnieniowego komentarza, wydobyta po latach, mało znana czytelnikowi, lakoniczna reminiscencja na temat „lwowskiego zaśpiewu" **Irzykowskiego**, utrwalona w pamięci interlokutora i wspólnych rozmów z autorem „Pałuby". W tle fragmentarycznej rozmowy uwagę zwraca krytyczna świadomość odbiorców i związany z gestem porządkującym wypowiedzi repetycyjny charakter komentarza o przeszłości w odniesieniu do tego, co już zostało przemyślane, wcześniej powiedziane, napisane. Zależność ta ujawni się w nawiązaniu autokomentarza do londyńskiego odczytu, w którym **Tymon Terlecki** wzbogacił o nowe warianty terminologię periodyzacji modernizmu:

> W odczycie, który miałem w Londynie, myślę, że zdołałem wylansować ten termin Młodej Polski lwowskiej. Bo jest Młoda Polska zakopiańska, Młoda Polska krakowska, Młoda Polska warszawska […][15].

Następny autokomentarz dopełnia wspomnienie przyjaźni humanisty z **Kazimierzem Wierzyńskim**, z czasów warszawskich, kiedy poeta był recenzentem teatralnym „Gazety Polskiej”.

> W Polsce Wierzyński odnalazł mnie jako młodego, obiecującego literata we Lwowie, kiedy bardzo krótko redagował świetny tygodnik „Kultura” […][16].

I dalej sugestywny opis osobowości poety, który zaważył na kulturze duchowej rozmówcy:

> Tu mógłbym tylko same banały opowiadać, jakie to było zjawisko nieodpartego uroku ludzkiego, męskiego, towarzyskiego. Wtedy w Zakopanem nawiązała się pewna znajomość, jedna z tysięcy, jakie Wierzyński zawierał, bo on miał przy swojej męskości jakąś niesłychaną, nienasyconą, kobiecą zaborczość zjednywania sobie ludzi, czarowania zagarniania w cień swego uroku. Tam uległem temu urokowi[17].

To powoduje, że świat wartości poety nabiera cech dominujących, zdaje się być wszystkim, co dla niego ważne.

Dobór rozmówców wiąże się także z pytaniem o gest porządkujący, o sposób docierania do osoby twórcy. Odrębność rozmów – o czym wspomina we wstępie redaktor tomu – dotyczy stylu wypowiedzi, strategii ujawniania się „ja” mówiącego lub komentarzy, które mogą być wypadkową chwili, psychicznych predyspozycji interlokutora. Lektura tekstów skłania do namysłu czym były dialogi wtedy, czym są po wielu latach:

> Doszedłem niemniej do przekonania, że coś się z nich ostanie, że nie wszystko się przedawni, że nieuniknione w takim przypadku niedociągnięcia i usterki kompensuje świeżość oraz spontaniczność wypowiedzi[18].

Świadomość tego, który pyta musi oddziaływać na idiosynkrazje bohaterów spotkań, którzy podejmują wysiłek nazwania rzeczy, sproblematyzowania zjawisk i ich wyjaśnienia przy samoświadomości ograniczeń memuarystycznej pamięci. Ciekawość innej optyki widzenia rzeczy „z perspektywy Kraju” pojawia się w pytaniach kierowanych do wszystkich interlokutorów. Wydaje się, że starania pytającego inicjujące dialogi o poezji pozornie ustalają kierunkową rozmowy. Ale słowa odbijają się od słów, natłok dygresji, epizodów związanych z przeszłością wyzwala „swobodną grę wspomnień”[19] a interlokutorzy, odnotuje autor wstępu, wciągnięci zostaną w dialektykę sytuacji, gdy odpowiedź jest równoczesna z pytaniem.

Pograniczny charakter rozmów, samoświadomość mówionego-pisanego nie zawsze towarzyszy funkcjonalistycznie czytanym wywiadom-rozmowom, w których czytelnik poszukuje informacji niedostępnych poza wyznaniowo-informacyjnym komentarzem, formułowanym w obecności Drugiego. Tak jest w wywiadzie z **Jerzym Pietrkiewiczem** komentującym osiągnięcia artystyczne kolegów po piórze. Interlokutorzy przypominają sylwetkę **Bogumiła Andrzejewskiego, Mariana Czuchnowskiego, Czesława Bednarczyka.** Interpretacje i poglądy poetów nabierają cech sugestywnych, nawet jeśli są tylko fragmentaryczną projekcją, nie obejmującą całości polskiego życia kulturalnego i duchowego w kraju i na emigracji.

Zebrane wypowiedzi zapewne stanowią źródło interesującego autokomentarza autobiograficznego, metatekstowego, historycznego. Znajdziemy tu wyczerpujące dyskursywne komentarze. **Stanisław Barańczak** zapytany w Cambridge w 1983 roku o poetykę twórczości nowofalowej daje syntetyczny „miniwykład" na temat interesującego rozmówców ruchu programowego, ważnych, lirycznych głosów pokolenia i młodych kontynuatorów dykcji nowofalowej. Rolę czynnego rozmówcy przyjmuje autor *Korekty twarzy* w komentarzach dotyczących roli pism kulturalno-literackich, między innymi „Zeszytów Literackich", tytułu integrującego środowiska pisarzy krajowych i emigracyjnych. Gest porządkujący charakteryzuje wypowiedzi **Julii Hartwig** i **Artura Międzyrzeckiego** współtworzących

eseistyczny wywód na temat grup poetyckich międzywojnia i poezji powojennej widzianej w syntetycznym uogólnieniu i w perspektywie ważnych dat, które dają wgląd w przełomy polskiego życia kulturalno-literackiego. Przeważają w tym fragmencie pytania o dopełnienie w mozolnym docieraniu do obrazu nieznanego gospodarzowi przebywającego w tym czasie na emigracji. Pojawiają się pytania dotyczące politycznego, ekonomicznego i kulturalnego wizerunku Polski, który przechowała pamięć interlokutorów. Sposób prezentowania poglądów poetów, chłodnego ważenia racji rozmówców zmienia się, gdy pytający prosi o komentarz do sytuacji współczesnej środowisk poetyckich w Polsce. Tu spokój argumentacji nie może do końca przezwyciężyć emocji związanych z troską o przetrwanie kultury narodowej, wartości moralnych, poszukiwania hierarchii wartości autentycznych, bez których liryka zdaniem dialogizujących poetów nie może się obyć. Mamy zatem w antologii wywiadów do czynienia z problemowym uporządkowaniem i wspomnieniową „mitologiczną *genezis* świadomości bohaterów dialogów”[20].

Wywiady z pisarzem i dialogi poety z poetami w kontekście innych dokonań artystycznych humanistów dowodzą zainteresowania, wrażliwości emocjonalnej i potrzeby uczestnictwa emigracyjnego twórcy w życiu bieżącym kraju – przypominał Zbigniew Andres w szkicu *Z Kanady do Polski. O poezji Floriana Śmiei****[21]****.*

Trudno dziś bowiem nie docenić informacyjnej roli dwuautorskich, samoświadomych autoanaliz i interpretacji, wpisanych w gest porządkujący, dociekań dość ważnych z punktu widzenia wiedzy o literaturze. W rezultacie tych spotkań otrzymujemy wcale nie mały kontekst dopowiedzeń biograficznych, socjologicznych i interpretacyjnych.

---

[1] Wszystkie cytaty za edycją: F. Śmieja, *Siedem rozmów o poezji.* Toronto 1990.

[2] Ibidem, s. 9.

[3] Ibidem.

[4] A. Główczewski, *Poetyka i pragmatyka „rozmów z…”*, Toruń 2005.

[5] Ibidem s. 232.

[6] F. Śmieja, *Siedem rozmów o poezji. Słowo wstępne*…s. 10.

[7] Ibidem.

[8] F. Śmieja: *Siedem rozmów o poezji*…s. 9.

[9] Ibidem, s. 8.

[10] *Rozmowa pierwsza: z Tymonem Terleckim*, [w:] F. Śmieja: *Siedem* rozmów… s. 22.

[11] F. Śmieja, *Siedem rozmów o poezji. Słowo wstępne…,* s. 9.

[12] A. Łebkowska: *Rozmowy z pisarzem – analiza gatunku,* [w:] *Kryzys czy przełom. Studia z teorii i historii literatury*, pod red. M. Lubelskiej i A. Łebkowskiej, Kraków 1994, s. 175–18; A. Główczewski: *Poetyka i pragmatyka „rozmów z …”*, Toruń 2005; K. Maciąg: *W kręgu problematyki „pamiętników mówionych”,* Rzeszów 2001. S. Bereś: *Historia literatury polskiej w rozmowach XX–XXI wiek,* Warszawa 2003, s.13. B. Witosz: *Stylistyka prozy interlokucyjnej – uwagi wprowadzające,* [w:] *„Język Artystyczny”*, t.13: *Interakcyjny wymiar dyskursu artystycznego,* pod red. B. Witosz, Katowice 2007, s. 109.

[13] F. Śmieja, *Siedem dialogów*…s. 9.

[14] *Rozmowa pierwsza: z Tymonem Terleckim*, [w:] F. Śmieja: *Siedem* rozmów…, s. 21.

[15] Ibidem, s. 16.

[16] Ibidem, s. 19.

[17] F. Śmieja, *Słowo wstępne…*, s. 9.

[18] Ibidem.

[19] Ibidem.

[20] M. Kurek, J. Ziarkowska, *Wstęp*, [w:] *Rzeczywiste i możliwe. Rozmowy z Florianem Śmieją,* Wrocław 2005, s. 9. Por. też: G. Maroszczuk, *Rzeczywiste i możliwe – rozmowy z Florianem Śmieją,* [w:] *Literatura polska w Kandzie. Studia i szkice*, pod red. B. Szałasty-Rogowskiej, Katowice 2010, s. 121-124.

[21] Z. Andres, *Z Kanady do Polski. O poezji Floriana Śmiei*, [w:] *Literatura polska w Kanadzie*…s. 112-115.

„Witamy w białej

Afryce” Wojciecha Rogali: Jak daleko stąd, jak blisko…

Recenzja książki

Barbara Lekarczyk-Cisek

Zawarty w tytule reportażu Wojciecha Rogali paradoks odbija jak w soczewce zarówno historię, jak i teraźniejszość Namibii. To próba spojrzenia na zmiany, jakie zaszły w południowej części kontynentu, oczami jego białych mieszkańców. A wszystko to ujęte jest w ramy dialogu, któremu autor nadaje cechy przypowieści, przywołując fragment Ewangelii wg św. Mateusza: „Nie sądźcie…”.

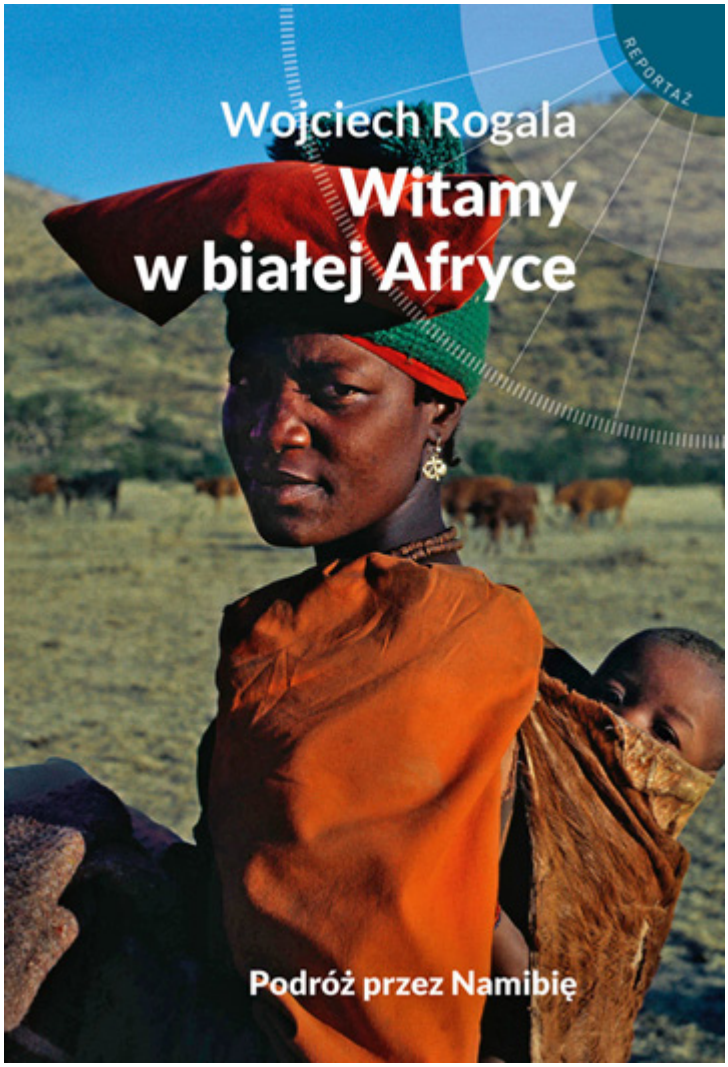

Cechą charakterystyczną narracji Rogali jest także częste porównywanie zmian w Namibii do tego, co się wydarzyło w Polsce po transformacji. Autor próbuje zrozumieć te zmiany odnosząc się do własnych, polskich doświadczeń, poczynając od prostej konstatacji, że Polska odzyskała wolność zaledwie o rok wcześniej od Namibii. Owe paralele sprawiły, że autor reportażu postanowił zbadać, co czują biali mieszkańcy tego kraju, jak patrzą na swoją historię i jaką widzą dla siebie przyszłość. Skąd jednak wzięli się biali mieszkańcy na tych terenach?

Nowy naród wybrany

Afrykanerzy wierzą głęboko, że są nowym narodem wybranym, który został namaszczony przez Boga 16 grudnia 1838 roku. Tego dnia bowiem, gdy 470 Burów – białych potomków holenderskich i hugenockich osadników – otoczyła

dwunastotysięczna armia Zulusów, ich kaznodzieja uroczyście poprzysiągł, że jeśli Bóg nie wyda ich w ręce wroga i ocali, wówczas wybudują Mu świątynię, a dzień ten będzie czczony przez następne pokolenia. I stał się cud – w tej nierównej walce zginęło około trzech tysięcy zuluskich żołnierzy i ani jeden Bur… A dzień bitwy nad Blood River stał się dniem przymierza, w którym Pan uczynił Burów władcami tej ziemi. Religia dała temu ludowi tożsamość, dumę i stworzyła wspólnotę, która scementowała rozproszoną grupę białych protestantów z Holandii, Francji i Niemiec. Jednakże po dwustu latach, kiedy Anglicy znieśli niewolnictwo i zaczęli okupować te ziemie, Burowie ruszyli na północ i postanowili zacząć wszystko od nowa – w zgodzie ze swoją wiarą i przekonaniami. Tak rozpoczął się tzw. Wielki Trek, którego główna fala datowana jest na lata 1835-1836.

Antylopa oryks, fot. Wojciech Rogala.

Wojciech Rogala fascynująco opisuje tę wielką odyseję, podczas której ludzie kroczyli potężną karawaną przez pustynię, niczym biblijni Żydzi, nękani przez pragnienie, skwar i malarię. Owe wędrówki trwały z przerwami wiele lat. Ostatnia wyprawa miała miejsce w 1905 roku, kiedy to Burowie, którzy nie chcieli żyć pod panowaniem Brytyjczyków, osiadli w Humpacie, gdzie nie tylko uprawiali ziemię, ale również polowali na słonie, walczyli z oddziałami Owampo i zapuszczali się na tereny administrowane przez Niemców. Po I wojnie zaczęli osiedlać się w Afryce Południowo-Zachodniej, gdzie stworzono osadnikom bardzo

dobre warunki.

Afryka jako poligon doświadczalny – pierwsze obozy koncentracyjne

Autor dociera do różnych miast i miasteczek znajdujących się w Namibii, próbując przywrócić zbiorowej pamięci ich historię, która rzutuje na współczesne oblicze kraju. Do miast, których historia jest mało znana, a przecież tak być nie powinno, należy Lűderitz, w którym Niemcy zaprawiali się w masowym mordowaniu ludzi uwięzionych w obozach koncentracyjnych. Okazuje się przy tym, że obozy koncentracyjne nie są niemieckim pomysłem – zakładali je już Hiszpanie w 1896 roku na Kubie, a także Anglicy, podczas drugiej wojny burskiej (1899-1902). W obozach zginęło wówczas 28 tysięcy kobiet i dzieci, które głodzono, aby złamać ducha walecznych mężów i ojców. Natomiast w niemieckich obozach koncentracyjnych w Lűderitz zginęły tysiące Herero i Nama. Bunt Herero zakończył się nieomal całkowitym unicestwieniem tego plemienia. Tych, których nie zamordowano z broni palnej, zamykano w obozach albo pędzono na pustynię, gdzie umierali z głodu i wycieńczenia. Nieliczni, którzy ocaleli, mieli służyć niemieckim panom. Jak w nieodległej przyszłości, przeprowadzano tutaj eksperymenty na więźniach. Gdy niemieccy kolonizatorzy, mieszkający w nieodległym Lűderitz, wiedli swoje zwykłe, codzienne życie, doktorzy – Bofinger oraz Eugen Fischer – selekcjonowali

więźniów, zabijali ich, a ich głowy konserwowali w formalinie i wysyłali do Berlina. Tych skatalogowanych i opisanych głów było ok. 780… Dopiero w 2001 roku, na prośbę ludu Herera i rządu niepodległej Namibii, szczątki ofiar zostały zwrócone ich potomkom. A co się stało z doktorem Fischerem? Jak się nietrudno domyślić, był podczas II wojny gorącym zwolennikiem Adolfa Hitlera i odpowiadał za wdrożenie programu rasowego NSDAP. Po wojnie, mimo że był odpowiedzialny za śmierć ok. 70 tys. ludzi, udzielał się naukowo, a nawet został członkiem Niemieckiego Towarzystwa Antropologicznego. Zmarł, nie ponosząc żadnej odpowiedzialności w 1967 roku.

Zabytkowe domy w Luderlitz, fot. Wojciech Rogala.

Pomnik na terenie dawnego obozu koncentracyjnego w Swakop, fot. Wojciech Rogala.

Autor nie tylko opisuje wydarzenia, snuje także refleksje, inspirując czytelników do tego samego. Intryguje go, jak ludzie charakteryzujący się taką pracowitością i samozaparciem, dzięki którym wznieśli piękne miasto na skraju pustyni, byli jednocześnie wierzący i ślepi moralnie, skoro nie odczuwali żalu ni skruchy z powodu tego, co się wydarzyło.

Refleksje o życiu i doświadczenie pustki

Refleksje towarzyszą autorowi nie tylko w odniesieniu do przeszłości, która jest zresztą namacalnie obecna w postaci pomników i architektury. Doświadczenie podróży, poznanie różnych ludzi oraz miejsc także stają się punktem wyjścia do istotnych rozważań. Wiele z nich pozostaje pod wpływem tej sugestywnej lektury w pamięci. Wojciech Rogala ma tę wrażliwość i uważność, która pozwala z obrazów, wydawałoby się, banalnych wysnuć nieomal filozoficzne rozważania.

Felsenkirche (1912), kościół na skałach w namibijskim mieście Luderitz, fot. David Stanley.

Pierwszy taki obraz, który zapamiętałam, to scena z namibijskiego kurortu – Swakopmundu. Reporter obserwuje wiekową białą kobietę, która porusza się za pomocą „balkoniku”, asekurowana przez czarnoskórą opiekunkę. Potem starsza pani, już w kostiumie kąpielowym, zmierza z wielkim trudem, już bez niczyjej pomocy, w kierunku oceanu. Po chwili zanurza się w lodowatej wodzie, która sprawia, że jej ciało staje się na ten czas sprawne jak niegdyś.

> Nie widziałem już ułomnej, starej kobiety – pisze autor – lecz siłę woli, charakter, triumf duszy nad ciałem. I dodaje: Czy człowiek jest tylko tym, co widzimy na zewnątrz? Czy nie zapominamy o tym, co naprawdę jest istotne, przez pryzmat

> jakich postaw i działań powinniśmy oceniać innych ludzi? Czy wszechobecna dbałość o naszą powierzchowność nie zasłoniła nam tego, co jest istotą nas samych?

W innym miejscu, obserwując roślinność, ubolewa nad tym, że współczesny człowiek żyje chętniej w wirtualnym niż w realnym świecie, a tymczasem mądrość czerpiemy właśnie z obserwacji prawdziwego świata. Opisuje np. roślinę pustynną – welwiczię, która może przetrwać bez wody długie miesiące. Jej liście zamierają na swoich końcach, by zmniejszyć zapotrzebowanie na wodę podczas wyjątkowo suchych okresów.

> Rośliny nauczyły się poświęcenia – konstatuje. Nauczyły się, że warto poświęcić coś, nawet cząstkę siebie, aby móc uratować życie.

Rogala pisze także o osobistym doświadczeniu pustyni. Przerażająca pustka i nicość, która zarazem pociąga i kusi.

> Czułem się – pisze – jakbym stąpał po obcej planecie. Pustka obejmowała mnie zewsząd, byłem sam na sam z nicością. Nie chciałem wracać, pustynia mnie wciągała. Czułem wielki spokój, było mi tak dobrze. Nie ma nic i to jest piękne.

Lüderitz, małe Niemcy w Afryce, fot. W. Rogala.

Zabytkowy budynek dworca kolejowego w Luderitz, fot. Wojciech Rogala.

Spotkałem ludzi niezwykle bliskich

Reportaż Wojciecha Rogali obfituje także w liczne rozmowy z ludźmi, które pozwalają spojrzeć na pewne wydarzenia oraz na historię Namibii oczami jej białych mieszkańców, dostrzec różne stanowiska, często bardzo odległe od oficjalnych, „jedynie słusznych”. Dzięki nim przestajemy patrzeć na Afrykę

stereotypowo, dzieląc jej mieszkańców na „dobrych” czarnych i „złych” białych.

Autor jest nie tylko cierpliwym i otwartym słuchaczem swoich licznych rozmówców, posiada także i tę zaletę, że nawiązuje z nimi głębsze więzi. Jest to rodzaj najpiękniejszej części jego afrykańskiej przygody, a myślę, że każdej przygody, kiedy okazuje się, że – zupełnie się tego nie spodziewając – natrafiliśmy na kogoś, kto okazał się bliski i serdeczny. Otóż poszukując pogardzanych potomków białych osadników – Basterów, reporter trafia nie tylko na ogromnie ciekawą społeczność, żyjącą w Rehoboth, skupioną wokół kościoła, ale również poznaje ich skomplikowaną historię i zaprzyjaźnia się z Julią, osobą niezwykle serdeczną i ciepłą.

> Szukałem innego świata, ginącej kultury – konstatuje – resztek znikającego narodu, a spotkałem ludzi, którzy, mimo że mieszkają tysiące kilometrów od Polski, mają inny kolor skóry, są nam niezwykle bliscy, mają wręcz dziwnie znajome, właściwie tożsame doświadczenia. I dodaje: Wewnętrzne ciepło drugiej osoby, jej bezpośredniość i otwartość łamią wszelkie granice i odległości.

„Witamy w białej Afryce” jest fascynującą podróżą w towarzystwie pisarza, który z wielką pasją i talentem

wtajemnicza nas w jej historię i teraźniejszość. Skwapliwie i z ochotą podąża się za takim przewodnikiem, który snuje swą opowieść, nie szczędząc nam niczego, co pozwoliłoby uruchomić wyobraźnię, refleksję i – koniec końców – tęsknotę, aby tam pojechać i doświadczyć.

Park Windhuku, skan książki.

Książka Wojciecha Rogali: „Witamy w białej Afryce” ukazała się w Wydawnictwie Muza, 2017 r.

„Bieżeństwo 1915” Anety Primaki-Oniszk:

Epopeja o zapomnianych uchodźcach.

Barbara Lekarczyk-Cisek

Recenzja książki

Aneta Primaka-Oniszk przypomina światu historię nigdy w pełni nieopowiedzianą. Pisze o świecie, którego już nie ma i o którym właściwie zapomniano. Jej opowieść o uciekających przed zagładą chłopach z Podlasia ma epicki charakter, a jednocześnie wtajemnicza czytelnika w pojedyncze ludzkie losy, nad którymi autorka pochyla się z wielką wrażliwością, próbując zrozumieć, co ludzie ci czuli i przeżywali.

„Bieżeństwo 1915” to jedna z tych książek, o których można powiedzieć, że musiała zostać napisana. Epopeja o zapomnianych uchodźcach to jedna z najbardziej poruszających lektur, jakie dane było mi ostatnio przeczytać.

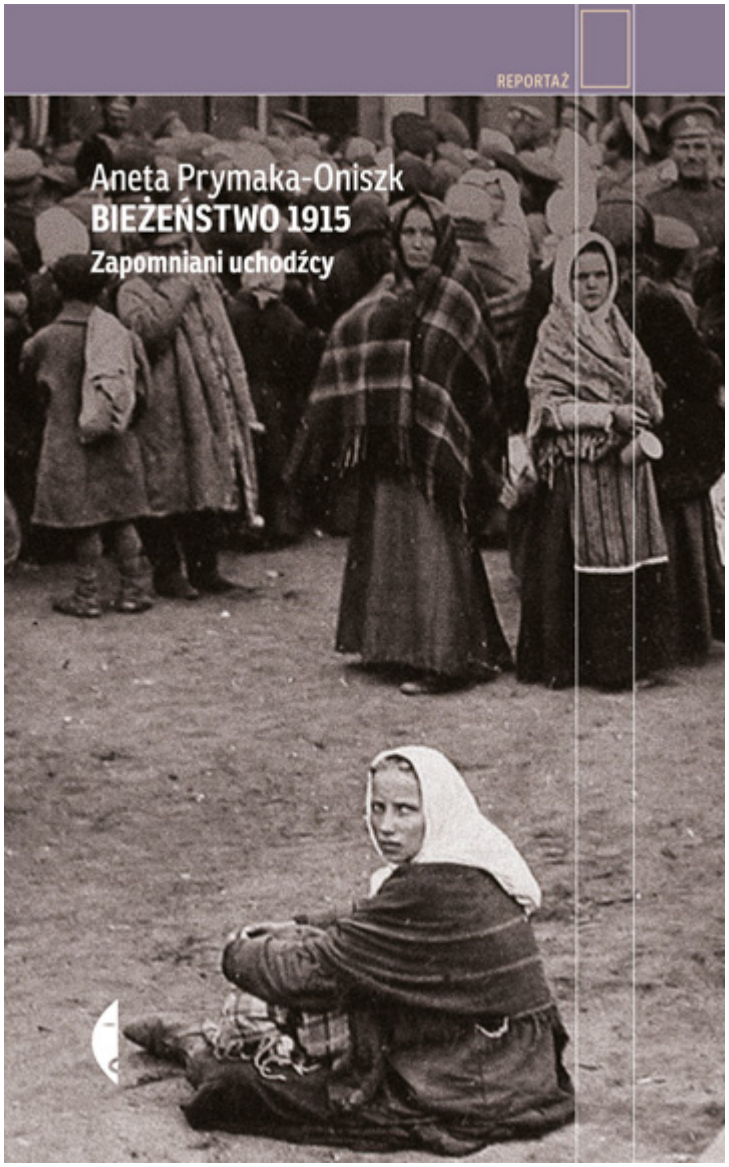

Aneta Primaka-Oniszk przypomina światu historię nigdy w pełni nieopowiedzianą. Pisze o świecie, którego już nie ma i o którym częściowo zapomniano. Jej opowieść o uciekających przed zagładą chłopach z Podlasia ma szeroki, epicki charakter, a jednocześnie wtajemnicza czytelnika w pojedyncze ludzkie losy, nad którymi autorka pochyla się z wielką wrażliwością, próbując zrozumieć, co ludzie ci czuli i przeżywali.

> Bieżeństwo. Tak babcia i wszyscy wokół nazywają ten czas – pisze. Musi być ważny, skoro ich historia świata dzieli się na przed bieżeństwem i po bieżeństwie.

Opowieść ta ma więc także osobisty aspekt: dotyczy babci Nadzi, czyli Nadziei, która przeżyła bieżeństwo, a na jej fotografii – jednej z nielicznych, które się zachowały – pozostał tego ślad, bo usta babci wprawdzie się uśmiechają, ale w oczach pozostał smutek… Kiedy wyjeżdżała z Knyszewicz, miała osiemnaście lat, była urodziwa i nosiła długie warkocze. Podobno była do Anety bardzo podobna. Ona jednak pamięta ją jako starą już kobietę, czytającą dzieciom w Wielki Czwartek ewangelię w języku staro-cerkiewno-słowiańskim i niechętnie mówiącą o przeszłości.

Historia utraty

Bieżeństwo to historia utraty: bliskich, domu, ziemi, a wreszcie korzeni i tożsamości.

> Staliśmy się nie ludźmi, ale liśćmi – opowiada jedna z bieżenek. Wiatr nas goni, gdzie chce.

Taki los stał się udziałem milionów ludzi. Kto jest w stanie to

pojąć, co czuje człowiek, który nie tylko utracił wszystko, ale przestał mieć jakikolwiek wpływ na swój własny los? Wydaje się, że to niemożliwe, a jednak ta książka pozwala to poczuć.

Zaczęło się od tego, że w 1915 roku, podczas I wojny światowej, cofające się wojska rosyjskie zaczęły siłą wysiedlać wsie, a także niszczyć plony, aby nic nie pozostało dla wrogów. Ponadto propaganda siała strach przed nadciągającym wrogiem.

> Germaniec wrzuca ludzi do ognia! Niemcy babom cycki będą obcinać, dzieci nabijać na szable albo wrzucać do studni!

– niosła się złowroga wieść. I ludzie ruszyli na Wschód całymi taborami i wsiami.

Aneta Prymaka nie poprzestaje na przytaczaniu relacji i faktów, nie jest jedynie chłodnym, obiektywnym kronikarzem tych wydarzeń. Przeciwnie, nieustająco towarzyszy jej opowieści refleksja i empatia. To bardzo ważny element narracji.

> Analizuję, co czuli przed wyjazdem – snuje rozważania. Próbuję złapać ten moment podjęcia decyzji: jechać czy zostać. Gdy wczytuję się we wspomnienia, odkrywam jednak, że często decyduje przypadek. Czasem ludzki błąd, czasem

> fart lub pech.

Lubelski Bełc – Rawa Ruska, fot. z książki „Bieżeństwo 1915”.

Dantejskie piekło

Podróż trwa długo. Po drodze umierają ludzie i padają zwierzęta. Brakuje wody i kończą się zapasy żywności. Szerzy się odra, tyfus, cholera. Giną od nalotów bombowych. Ciała pozostają bez pochówku… Mnożą się ludzkie dramaty. Dzieci tracą rodziców, a rodzice dzieci. Zdarzają się takie przypadki, jak ten, kiedy ojciec po śmierci żony oddaje najmłodsze dziecko do sierocińca, bo obawia się, że nie wykarmi całej piątki. Kiedy najmłodszy z rodzeństwa odjeżdża pociągiem, wszyscy płaczą. Taki obrazek pozostaje na zawsze w pamięci jego starszej siostry… Odnotowano, że zdarzały się i takie przypadki, że umierające matki, nie mogąc znaleźć nikogo, kto zaopiekowałby się ich dziećmi, topiły je, nie chcąc skazywać na powolne konanie. Były jednak i takie, które za nic w świecie nie dały sobie odebrać dzieci. Z jednym z takich dzieci, cudem ocalałych dzięki matczynej determinacji, ciotką Nurą, Aneta Prymaka rozmawia w 2013 roku. *Ma dziewięćdziesiąt dwa lata, mówiła o tym już nie raz. Zawsze wtedy płacze.*

Czy można zacząć nowe życie z pękniętym sercem?

Ci, którym udało się przeżyć, odbywają podróż w nieznane. Na jednym z zamieszczonych w książce zdjęć widać cztery kobiety z dziećmi na drewnianym pomoście. To Astrachań nad Wołgą, a one czekają na dalszą podróż…

> Gdy widzę to zdjęcie po raz pierwszy – pisze autorka reportażu – mam wrażenie, jakbym zobaczyła swoją babcię Nadzię albo prababcię Annę Prymakę z trzyletnią Lubą na rękach. Te wszystkie kobiety, które z babcią Nadzią wspominały Rasieję, gdy jako kilkuletnia dziewczynka bawiłam się obok. Zaraz zostawią bezpieczny ląd i wsiądą na statki, które powiozą je nie wiadomo gdzie.

Przyjeżdżają wynędzniali, często chorzy, po różnych traumatycznych przeżyciach. Trzeba zacząć nowe życie. Ale czy to możliwe?

> Zastanawiam się, kim staje się człowiek, którego świat całkowicie runął – zastanawia się reporterka. Z czego buduje nową rzeczywistość? Skąd czerpie siłę? Kim staje się cała społeczność, która utraciła wszystko?

Niektórzy docierają aż do Taszkientu, a tam, po wyjściu z pociągu, widzą na peronie kolorowo ubrane postaci o poczerniałych twarzach, ostrych rysach i skośnych oczach – tak muszą wyglądać tylko diabły. Tymczasem okazuje się, że to delegacja Kirgizów i Sartów, witająca bieżeńców białym chlebem. Później dowiadują się, że mieszkają tam również przesiedleni wiele lat wcześniej Ukraińcy. Jednak wszystko jest obce i ludzie wysiedleni z Odrynek nie nauczą się żyć w Czardżuju. Kiedy na wiosnę wszystko budzi się do życia, oni – niedożywieni i osłabieni podróżą – zaczynają chorować i masowo umierać. Wielu zapada na choroby psychiczne. Znany psychiatra, Władimir Michajłowicz Biechtieriew, proponuje nawet otwarcie w Piotrogrodzie kliniki psychiatrycznej dla bieżeńców. Stara się o sfinansowanie budowy szpitala przez Komitet Wielkiej Księżnej Tatiany. W gazetach ukazują się artykuły, w których autorzy z wielkim współczuciem piszą o przeżyciach bieżeńców, zwłaszcza dzieci:

> Być może ich małe, niemające jeszcze siły serduszka rozpadły się już na kawałki i takie pozostaną na całe życie, tak jak pęknięte są serca ich posępnych i wymęczonych matek i ojców.

Zdjęcie grupowe zrobione w przytułku we wsi Podostrownoje w

guberni tambowskiej, fot. z książki „Bieżeństwo 1915”.

Apokalipsa 1917 roku

Kiedy w 1917 roku wybucha rewolucja, zaczyna się prawdziwa apokalipsa. Świat wali się po raz drugi, padają też ostatnie filary starego porządku: autorytet władzy i Bóg. Zaczyna się groza i straszliwy głód. Bolszewicy sypią zboże do rzeki, palą lub rzucają ptakom. Dzieją się rzeczy niewyobrażalne nawet dla bieżeńców, którzy tyle przeszli. W latach 1921-1923 umiera ponad pięć milionów ludzi, dochodzi do aktów kanibalizmu. Bieżeńcy postanawiają wracać, ale na powrót do domu wielu z nich będzie musiało czekać kilka lat.

Przyjechałem zupełnie ogołocony z pieniędzy wydanych na łapówki bolszewikom i Niemcom – napisze w swoich wspomnieniach Stanisław Wojciechowski, przyszły prezydent Rzeczypospolitej. Bieżeńcy znowu doświadczają głodu, poniewierki i chorób. W dodatku wracają do innej Polski, której nie było przed ich przyjazdem i muszą się w niej na nowo odnaleźć.

„Gazeta Warszawska” 19 stycznia 1922 roku napisze:

> Repatrianci przybywają do Polski w stanie wycieńczenia i

> zarazy nie tylko z tego powodu, że w Rosji panuje głód, przed którym uciekają do Polski, ale również dlatego, że podróże z Rosji trwają całymi tygodniami, a niekiedy i miesiącami, podczas których rząd sowietów nie daje prawie żadnej pomocy żywnościowej i podróże te odbywają się w wagonach tak zawszonych, iż nawet zdrowi repatrianci ulegają zarażeniu i często umierają w pociągach przed przybyciem do Polski.

Powrót na „hoły kamień”

Ci, którym udało się jednak powrócić, zastają najczęściej ruinę – spalone domy i zagrabione gospodarstwa. Na szczęście Niemcy, którzy zakładali na tych terenach kolonie rolne, wyjechali i pozostawili po sobie zboża.

Ach, wiele przeżyliśmy. Wróciliśmy na goły kamień – powtarza babcia autorki. Ale to nie wszystko. Ludzie zobaczyli, że tamtego, starego świata, który zapamiętali, już nie ma i nigdy nie będzie. Panuje straszliwa bieda: jedzą zupę z pokrzyw, a dzieci pracują ponad siły, krzywdzone i poniżane. Co jednak ma robić wdowa, która wróciła z gromadką małych dzieci? Co mają robić osierocone dzieci, które są zbyt małe, aby utrzymać pług? Pracują ponad siły i straszliwie biedują. Powoli jednak zaczyna się odbudowa nowego życia. To niełatwe, bo większość z nich

mówi *po swojomu* i nie ma szansy poznać polskiego przed pójściem do szkoły. Znikają także prawosławne cerkwie, zastąpione przez kościoły. A przecież religia jest dla tej ludności ważnym składnikiem ich tożsamości. Nic zatem dziwnego, że prorok Ilia (Eliasz Klimowicz) ogłasza koniec świata i przygotowuje naród do ponownego przyjścia Chrystusa.

Bieżenki nad Wołgą, fot. z książki „Bieżeństwo 1915”.

Bieżeństwo jako źródło tożsamości nowego pokolenia

Historyk, prof. Eugeniusz Mironowicz, pomysłodawca tomu „Bieżeństwo 1915 hoda”, uważa, że po tych wszystkich wydarzeniach wyrosło pokolenie prawnuków, którzy piszą własną wersję historii i interpretują ją na swój sposób. W ten sposób tworzy się rodzaj nowej mitologii, która stanie się źródłem tożsamości najmłodszego pokolenia.

Aneta Prymaka nie tylko opisała historię bieżeństwa i jej skutki, ale również założyła bloga Bieżenstwo.pl, na którym zapisuje nowo odkryte ludzkie historie. Blog stał się poniekąd „miejscem spotkań” potomków bieżeńców.

Poza wszystkim książka „Bieżeństwo 1915” jest epickim, pełnym

opisem historii bieżeńców 1915 roku, w którym autorka nie tylko pochyliła się nad losem wspólnot, pojedynczych ludzi, a także nad historią własnej rodziny. Stała się także „kronikarzem duszy ludzkiej” (używając sformułowania Swietłany Aleksijewicz), ukazując, jakie straty ponieśli ludzie w sferze duchowej i psychicznej. Czytając ten fascynujący reportaż, stajemy się świadkami i niejako „uczestnikami” jej dramatycznej opowieści, budzącej zarazem refleksję nad meandrami historii. Książka otrzymała już szereg znaczących nagród, m.in. nominację do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego 2017, Nagrodę Literacką im. Wiesława Kazaneckiego oraz Nagrodę Literacką Miasta St. Warszawy.

Bieżeńcy, 1915 r, fot z książki „Bieżeństwo 1915”.

Bieżeńcy na jednym z postojów, fot. z książki „Bieżeństwo 1915”.

Książka Anety Prymaki-Onyszk: „Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy” ukazała się w Wydawnictwie Czarne.

Billie Holiday, William Dufty: „Lady Day śpiewa bluesa”

każdego dnia.

Billie Holiday, Downbeat Club, Nowy Jork, luty 1947, fot. William P. Gottlieb, źródło: wikipedia.

Barbara Lekarczyk-Cisek

Pięćdziesiąt lat po amerykańskim wydaniu biografii słynnej wokalistki jazzowej, Billie Holiday, ukazał się w Wydawnictwie Czarne jej polski przekład. Opowieść Billie o sobie samej to jak słuchanie jej nagrań. Przekonajcie się sami.

Billie Holiday była moją ulubioną piosenkarką w latach młodości, kiedy to interesowałam się jazzem i bluesem. Nie tylko kolekcjonowałam jej nagrania, utrwalając je na magnetofonie szpulowym audycje Polskiego Radia, zwłaszcza „Blues wczoraj i dziś" Marii Jurkowskiej, ale stałam się nawet szczęśliwą posiadaczką mojej ulubionej płyty (oczywiście analogowej): „Lady in Satin", nagranej w 1958 roku dla Columbia Records, z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej i chóru. To szczególny album, na którym Billie wykonuje głównie utwory pełne smutku, a niedoskonałości jej zmęczonego głosu (było to na rok przed śmiercią wokalistki) zdają się dodawać im bluesowego feelingu. Przede wszystkim brzmią jakoś wyjątkowo prawdziwie i szczerze – jak spowiedź z całego życia. Żadna z jej płyt nie zrobiła na mnie tak wielkiego wrażenia, jak właśnie tamta…

https://www.youtube.com/watch?v=UCsxqDq6B04&list=PLA60E79E252E052B0

W latach 70. biografię Billie Holiday zaczął tłumaczyć znawca i propagator bluesa, Stefan Zondek, tłumacz autobiografii Louisa Armstronga: „Moje życie w Nowym Orleanie”, ale pracę przerwała jego przedwczesna śmierć. I oto po tylu latach – wreszcie jest, w znakomitym tłumaczeniu Marcina Wróbla, które pozwala posmakować charakterystycznego sposobu mówienia Billie, przyjrzeć się jej niejako z bliska – na tyle, na ile nas do siebie dopuszcza. Z pewnością nie jest to sensacyjna i skandalizująca biografia znanej wokalistki, jak choćby wydana przez W.A.B. w 2007 roku książka autorstwa Julii Blackburn. Opowieść Billie o sobie samej przypomina słuchanie jej nagrań.

> Billie jako wokalistka – czytamy we wstępie autorstwa Davida Ritza – bywała przejmująca lub wzruszająca, rozgoryczona lub pełna słodyczy, agresywna albo wycofana, pełna wiary w siebie i zagubiona. Tę książkę charakteryzuje równie brutalna emocjonalna szczerość. A to, że szczerość nie zawsze ma pokrycie w faktach, nie odgrywa większej roli. Nie pisała tego tekstu dla historyków muzyki czy etnomuzykologów. Kierowała nią ta sama potrzeba wyrażenia uczuć, która zmuszała ją do śpiewania.

Wszystko o mojej matce… i nie tylko

Ilu ludzi, tyle prawd i narracji. Ta ma tę szczególną wartość, że pochodzi z samego źródła, że możemy „posłuchać” barwnego języka Billie Holiday, obejrzeć jej oczami Baltimore lat dwudziestych, poczuć atmosferę klubów jazzowych Nowego Jorku i Los Angeles. Poznamy także galerię znakomitych postaci, nie tylko ze świata jazzu, jak Ethel Wathers, Lestera Younga (to on wymyślił przydomek Lady Day) czy Benny Goodmana, ale także słynnego reżysera Orsona Wellesa czy aktora Clarka Gable`a, których Bllie poznała przy okazji pobytu w Los Angeles, gdy grała w filmie „New Orleans” (1947).

O swoich rodzicach, a szczególnie o matce, pisze szczególnie ciepło – zwłaszcza o jej prawości, skromności, pracowitości i wielkiej gościnności, nie unikając przy tym charakterystycznych kolokwializmów:

> Matka nie tylko kochała ludzi, ale też pokładała w nich dużą wiarę. Jej zdaniem, w każdym było coś dobrego, bo takimi stworzyć nas Bóg. Wszędzie dostrzegała dobro, znajdowała je w najdziwniejszych typach. Nie tylko w dziwkach i alfonsach, ale też w złodziejach i mordercach. (…) Mogłeś być skończonym łajdakiem i złodziejem, ale wystarczyło powiedzieć, że jesteś muzykiem, a matula oddałaby ci ostatnią koszulę.

Mistrzyni interpretacji

Nie miała wykształcenia, ukończyła zaledwie pięć klas i to – jak pisze – w biednych szkołach dla czarnych w Bostonie, a jednak posiadała wrodzoną inteligencję i muzyczną wrażliwość oraz niezwykłą intuicję, które sprawiały, że nawet banalny tekst potrafiła zinterpretować tak, że nagle zyskiwał drugie dno. W jej ustach „My Man” czy „Lover Man” brzmią niepowtarzalnie.

> Każdy musi być inny – czytamy w biografii. Kopiowanie do niczego nie prowadzi. Naśladownictwo oznacza, że robisz coś, czego nie czujesz, cała robota na nic. Nie ma dwóch takich samych ludzi na świecie, tak samo w muzyce, jak i poza muzyką.

Jej interpretacje piosenek nie mają sobie równych, ale dopiero czytając biografię zaczynamy zdawać sobie sprawę, że to, co było dla nas dotąd oczywiste, wcale nie przychodziło tak łatwo.

> Ludzie naprawdę nie rozumieją, jak mocno trzeba się umordować, żeby nagrać to, co chcesz, dokładnie tak, jak chcesz. Zdarzało mi się walczyć nawet przez dziesięć lat, żeby nagrać utwór, który bardzo kochałam. (...) Nadal walczę o możliwość zaśpiewania niektórych rzeczy.

Billie opowiada szczerze o swoich kłopotach z uzależnieniem od narkotyków, podkreślając, jak zgubny to nałóg, o pobytach w więzieniu (były to czasy, kiedy karano za posiadanie choćby niewielkich ilości narkotyków), a także o upokorzeniach, biedzie, utraconych miłościach… Wszystko to odnajdziemy w jej interpretacjach piosenek: „Lady sings the Blues” czy w mojej ulubionej: „Don`t Explain”.

> Często słyszałam – komentuje – że nikt poza mną nie śpiewa z takim uczuciem o głodzie i miłości. Być może dlatego, że nadal pamiętam, co znaczą te słowa.

Billie Holiday pichci obiad w hotelowym pokoju

W biografii Billie Holiday znajdziemy także niemało anegdot. Po wielkim sukcesie na deskach Metropolitan Opera w Londynie piosenkarka jest wprawdzie we wspaniałym humorze, ale narzeka na hotelowe jedzenie. Postanawia sama przyrządzić sobie posiłek. Otwiera puszkę czerwonej fasoli, którą zawsze wozi ze sobą, dodaje czosnek, trochę mielonego mięsa i gotuje to wszystko na maszynce spirytusowej.

> Myślałam, że w hotelu zaczną się czepiać z powodu zapachu

> – zwierza się w książce, ale zanim zdążyłam wszystko przygotować, do moich drzwi zaczęli się dobijać windziarze, pokojówki i kierownicy pięter. Wszystkim bardzo smakowało. (…) Do dziś wysyłam tę fasolę znajomym z Londynu.

Frywolne piękno i poetycka szczerość

Biografia Billie Holiday ma wszelkie cechy intymnego zwierzenia, czuje się w niej zaufanie do Williama Dufty`ego, z którym była zaprzyjaźniona i który dyskretnie jej zwierzeniom towarzyszy, nie zaznaczając jakoś swojej obecności. Jest idealnym słuchaczem – pośrednikiem pomiędzy wokalistką a potencjalnymi czytelnikami.

> Kocham tę książkę – pisze we wstępie Ritz. Zakochałem się w niej u progu swojej jazzowej obsesji, gdy miałem zaledwie trzynaście lat. Teraz jestem pół wieku starszy, przeczytałem ją bodaj piąty raz i nadal ją kocham. Cieszy mnie nie tylko frywolne piękno tej prozy i jej poetycka szczerość, jestem wdzięczny, że dzięki tej książce mogę poznać Billie.

Sądzę, że mogłabym powtórzyć za nim te słowa. „Lady Day śpiewa bluesa” to lektura obowiązkowa nie tylko dla wielbicieli

Billie Holiday, ale także dla wszystkich, którzy interesują się jazzem, bo mogą zajrzeć pod podszewkę czasów jazzowych knajpek i segregacji rasowej.

Książka Billie Holiday i Wlliama Dufty: „Lady śpiewa bluesa” ukazała się w Wydawnictwie Czarne, w przekładzie Marcina Wróbla.